Nr. 35. Poznań, dnia 1 Września 1907 r. Rok XI.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

O akcyę wiecową.

W prasie naszej wynikł w ostatnich tygodniach spór o akcyę wiecową w sprawie projektu wywłaszczenia.

„Kuryer Poznański“ i „Praca“ opowiedziały się przeciwko wiecom — „Dziennik Kujawski,“ „Dziennik Berliński“ i „Postęp“ popierają akcyę wiecową.

Pisma przeciwne akcyi wiecowej stoją na swojem stanowisku dla tego, że uważają akcyę tę za bezcelową. Papierowe, choćby najuroczystsze protesty, choćby najświętsze i najgłębsze wypowiadające oburzenie społeczeństwa naszego — nic nam nie pomogą. To pewna, że *na cofnięcie* projektu rządowego wiece te wpływu nie będą miały żadnego, a mogą mieć wpływ ujemny o tyle, że mogą wywołać wrażenie w kołach rządowych, jakoby projekt ten tym razem był istotnie ostatnim, a może jedynym sposobem rozwiązania kwestyi polskiej w Prusiech i w Niemczech. Co gorsza, akcya wiecowa może być w kołach popierających projekt wywłaszczenia tłómaczona jako objaw obawy, przestrachu z naszej strony, a w takim razie obawa nasza użyta może być przez wrogów naszych jako argument — za projektem wywłaszczenia.

Naszem zdaniem w naszem życiu politycznem tych względów lekceważyć nie można. Trzeba je brać w rachubę, a w takim razie trzeba też wysnuć z nich odpowiednie wnioski i odpowiednio sobie postępować.

Zwolennicy akcyi wiecowej wiedzą o bezcelowości tejże, lecz powiadają, że akcya ta jest potrzebną *do rozbudzenia ludu.*

W jakim celu — pytamy — ma być lud nasz rozbudzony? Przecież w tym razie chodzi o projekt wywłaszczenia. Celem więc akcyi wiecowej mogłoby być n. p.: rozbudzenie ludu w kierunku obrony ziemi, trzymania się jej kurczowo.

Ale co pomoże to rozbudzenie, jeżeli projekt przejdzie? I najbardziej rozbudzonego właściciela ziemi na mocy takiego „prawa“ wbrew jego woli będzie można z chudoby, z ziemi, z wioski wyrzucić.

Zresztą „Kuryer Poznański“ zwrócił tutaj uwagę na to, że przecież jeszcze nie znamy treści projektu, nie znamy sposobu, w jaki rząd chce wywłaszczać. Jeżeli zaś tego sposobu nie znamy, jakże mamy radzić nad tem, ażeby mu zaradzić?

Argument potrzeby rozbudzenia nie jest więc dostatecznym argumentem dla rozpoczęcia akcyi wiecowej przeciwko projektowi wywłaszczenia. Wiece te na razie trzebaby uważać jako okazyę do czczej gadaniny, która nam żadnych nawet moralnych ani idealnych korzyści nie obiecuje.

Nam się zdaje, że spór ten o akcyę wiecową wynikł z różnych poglądów zasadniczych co do znaczenia wieców.

Pisma popierające akcyę wiecową patrzą na wiece jako na powszechny środek zaradczy w każdej jakiejkolwiekbądź potrzebie publicznej. Z tego zapatrywania wychodząc doradzają akcyę wiecową nawet wtenczas, kiedy są przeświadczone z góry o jej bezcelowości.

My zaś traktujemy akcyę wiecową jako czynnik poważny w życiu publicznem, którego używać należy tylko wtenczas, kiedy po nim spodziewać się należy istotnych korzyści, albo praktycznych, albo moralnych lub idealnych.

N. p. wiece są potężnym środkiem do rozbudzenia zainteresowania sprawami publicznemi, politycznemi, narodowemi i oświatowemi. Wprawdzie nikt nie zechce twierdzić, że zainteresowanie temi sprawami doszło u nas do stopnia idealnej doskonałości, ale też nikt znowu twierdzić nie może, że wskazywanie ludowi smutnej perspektywy co do wywłaszczenia jest właśnie stósowną akcyą do rozbudzania tego zainteresowania.

Jakkolwiekbądź na tę sprawę patrzeć będziemy, musimy dojść do wniosku, że akcya wiecowa w sprawie wywłaszczenia co najmniej na razie nie jest wcale pożądaną.

Powiadają także niektóre pisma, że społeczeństwo nasze — dziwnie obojętne jest na sprawę projektu wywłaszczenia.

Otóż to jest po prostu nie prawda. Nie mówimy już o szlachcie, która sobie doskonale zdaje sprawę z zagrażającego jej niebezpieczeństwa, ale zdają sobie też dokładnie sprawę i gospodarze nasi, zdają sobie sprawę ci wszyscy, którzy żyją z roli, którzy żyją nadzieją zdobycia sobie kawałka ziemi. Patrzą oni na sprawę projektu tak jak na to zasługuje, a więc, że jest on *aktem przemocy państwowej,* że akt ten podyktowany jest nie chęcią obrony uciśnionej (!) niemczyzny, lecz *wrogiemi zakusami skierowanemi wprost ku zagładzie żywiołu polskiego.* Lud nasz dobrze rozumie, że chodzi tu o wyparcie Polaków z ich odwiecznych siedzib, ażeby rozrzuconych po wszech stronach Niemiec i Prus tem łatwiej zgermanizować, tem doszczętniej wyniszczyć wszelkie objawy polskości, która pomimo tylu wysiłków przeciwnych zawsze i wciąż podnosi śmiało i hardo głowę do góry.

Projekt wywłaszczenia ma złamać dumę i opór Polaków, ma złamać ich rozmach, jakiego nabrali w ostatnim dziesiątku lat zmagając się z nasłanym żywiołem germańskim w walce o byt, o chleb, o mienie, o powodzenie.

Czy to się uda za pomocą projektu wywłaszczenia, tego dziś nikt osądzić nie może, nikt z Polaków, bo przed nimi projekt jest trzymany w najściślej-

szej tajemnicy. A trzyma rząd projekt swój w tajemnicy, trzymajmy i my w tajemnicy nasze pomysły na wypadek urzeczywistnienia tego projektu. Radzić będziemy nad nimi wtenczas, gdy projekt poznamy, gdy się przekonamy, czy i jakie środki obrony on nam jeszcze pozostawia.

I. M. S.

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 26-go sierpnia 1907.

Praca Koła polskiego w rosyjskiej Izbie państwowej miała nietylko bezpośrednie następstwa dla polityki naszej, praca ta ma również wielkie znaczenie, jako ułatwienie uświadomienia narodu, co do różnych ważnych dla niego spraw. Między innemi naprzykład członkowie Koła w komisyi budżetowej złożyli obszerne przedstawienie w sprawie podatków z Królestwa Polskiego, w którem poddali gruntownej krytyce system podatkowy i wskazali, jakie są niezbędne zmiany. Wprawdzie Izbę rozwiązano i skutku w praktyce przedstawienie posłów naszych nie miało, jest ono wszakże pracą bardzo cenną, bo poucza całe społeczeństwo jaka się nam tutaj dzieje niesprawiedliwość.

Okazuje się przedewszystkiem, że Królestwo płaci w porównaniu do Rosyi podatki wprost ogromne. Podatku gruntowego wpływa do skarbu państwowego z Królestwa razem około 8 milionów rubli, w tej liczbie 5 i pół miliona podatku gruntowego i 2 i pół miliona podatku podymnego. Tymczasem z gruntów w całej Rosyi Europejskiej otrzymuje skarb w Petersburgu tylko około 13 i pół miliona rubli, pomimo że w Rosyi mieszka dziesięć razy tyle ludności, co w Królestwie, a obszar jej jest jeszcze większy, dość razy większy. Wprawdzie grunty w Rosyi są mniej warte niż u nas, ale nawet po obliczeniu wartości gruntów okazuje się, że grunty w Rosyi są warte z górą 16 miliardów rubli, a w Królestwie nie wiele więcej, niż jeden miliard rubli. Podług obliczenia dokładnego wartość gruntów w Królestwie stanowi $^1/_{13}$ część wartości gruntów w Rosyi, według sprawiedliwości zatem należy, by podatki z gruntu u nas stanowiły $^1/_{13}$ część tego co w Rosyi, czyli, że podatki gruntowe w Królestwie powinny wynosić nie ośm milionów, jak dziś, lecz jeden milion zaledwie.

Istnieją wprawdzie prócz podatków państwowych podatki ziemstwa, ale Królestwo ma także cały szereg opłat, które idą na potrzeby miejscowe; są to podatek dawny kwaterunkowy (347,786 rb.), na utrzymanie sądów gminnych (449,687 rb.), drogowy (1,475,911 rb), weterynaryjny od bydła (243,049 rb.), transportowy (195,236 rb.), opłaty ubezpieczeniowe (4,803,926 rb.) i cały szereg opłat na różne potrzeby gmin.

Wszystko to wskazuje, że podatki w Królestwie są nadmierne w porównaniu do Rosyi. Ale niedość tego. okazuje się, że znaczna część tych podatków jest pobierana bezprawnie. W myśl ukazu z roku 1864, mocą którego włościanie w Królestwie zostali uwłaszczeni na gruntach dworskich, nałożono podatek na włościan, powiększono o połowę podatek gruntowy dworski, by w ten sposób uzyskać pieniądze na opłatę listów likwidacyjnych, któremi płacono właścicielom folwarków za grunty oddane włościanom. Spłata ta trwała 42 lata, w roku zeszłym zatem została ukończona, należałoby więc przestać pobierać podatki, które na uskutecznienie tej spłaty będą pobierane. Suma podatków przeznaczonych na tę spłatę wynosi około trzech milionów rubli. Pobieranie jej winno być zatem skasowane, jeśli prawo ma być szanowane. Prócz tego istnieje podatek podymny, który odpowiada mniej więcej podatkowi podusznemu, który przed 30-tu laty był w Rosyi zniesiony. Ten podatek podymny zatem, który wynosi z górą dwa i pół miliona rubli, winien być zatem również zniesiony. Gdyby te obydwa rodzaje podatków znieść, to i tak skarb miałby z Królestwa około 2 i pół miliona rubli rocznie, czyli znacznie więcej niż powinno być w porównaniu z podatkami w Rosyi.

Dziwnem się doprawdy wydaje, jak w takich warunkach minister skarbu Kokowcew ośmielił się w Izbie powiedzieć, że Rosya dokłada do Królestwa. Liczył widać na nieznajomość rzeczy u posłów polskich. Zawiódł się wszakże srodze i wówczas to poseł Żukow-

Z wrażeń letnich.

Piszczany (na Węgrzech) 19. VIII. 07.

W oddali cicho szemrze Waga. Przez szpalery drzew widzę paski rzeki, srebrzące się w jasnem świetle księżyca. Opodal ciemnieje park.

Już cisza nocna otula wszystko i wszystko obejmuje w spokój i tęsknicę.

A obejmuje zwłaszcza nas, co zmuszeni znaleść się tutaj, zdala od kraju, zdala od swoich, czujemy się obcy, — obcy zupełnie. Wprawdzie kiedy niekiedy, usłyszawszy tu i owdzie mowę słowacką, zbliżoną wielce do naszej rodzinnej, zdawać się może na oka mgnienie, żeśmy w Polsce — wnet jednak rzeczywistość rozwiewa złudę, a więcej nawet: upośledzenie i ucisk słowaczczyzny przez Węgrów, gniotących zawzięcie inne narodowości w swem państwie, przywodzi nam na pamięć naszą niedolę i ucisk.

Trudno mi zbliżyć się do Słowaków i zapoznać się wprost z ich pragnieniami i dążeniami; poznaję je z pism ich własnych i z tego, co o nich u nas pisano. Ale urywkowe przeglądanie pism słowackich nie da nikomu całokształtu stosunków u nich panujących.

Bywało nieraz: zapuszczam się do wsi słowackiej, do Banki, do Radosny, aby na miejscu języka zasięgnąć, aby w serdecznej rozmowie z nimi, wywiedzieć się, jakie pragnienia ich ożywiają, co oni w duszach za ideały piastują. Stykam się z ludem jedynie. Warstw inteligentnych spotkać mi się nie udało. A to właśnie zetknięcie się z ludem słowackim gwałtownie narzuca wprost porównanie z ludem naszym.

Zamknięty w sobie i trudno przystępny, lud słowacki pogrążony jest w ogromnem nieuświadomieniu narodowem. Nie podobna dowiedzieć się o jego pragnieniach narodowych; prawdopodobnie obuch węgierski przydusza je, jeśli ich całkiem nie gasi. Jak niewolnicy, przywiązani do codzień powtarzającej się pracy, z dnia na dzień pędzą swój żywot w krwawem jarzmie, nie odczuwając może bólu, jaki płynie z upodlenia i niewolnictwa.

Tak, jakby na ruinę byli skazani. Choć wiele bezsprzecznie jest usiłowań do podsiesienia, umoralnienia, rozgrzania narodowego ducha.

Smutek wieje zewsząd.

— — — — — — — — —

Bieżymy myślą do nas, do kraju.

Galicyę nazywają niekiedy Piemontem polskim. Jak Piemont stał się strażnicą narodowych, samoistnych dążeń włoskich, tak Galicya ma wykuwać przyszłość naszą, przodować całej Polsce w pracy, jej wskazywać drogi przyszłości i strażować ma, by duch narodowy nie zamierał ani się paczył.

Człowieka nieraz pochlebstwo upaja; nierozsądny przyjmie je w dobrej wierze i szczęśliwym czuć się będzie urojonemi zasługami, niepopełnionymi

ski natychmiast mu wykazał, że się grubo myli. Memoryał zaś złożony przez Koło polskie w komisyi budżetowej, a ułożony przez byłego posła Władysława Grabskiego jasno i dobitnie wykazuje, w jaki sposób Rosya sprawuje rządy w Polsce, jak uboży kraj i stoi na przeszkodzie wszelkiemu podniesieniu się jego dobrobytu.

S. B.

Listy lwowskie.

Lwów, 25. sierpnia 1907.

(Zjazd leśników polskich w Krakowie; sprawa studentów ruskich; widmo głodu w Galicyi.)

W tym mniej więcej czasie, kiedy w Sztutgardzie rozpoczęły się obrady czerwonej międzynarodówki, w Krakowie zebrali się po raz *pierwszy* leśnicy polscy z całej Polski, chcąc w ten sposób uczcić dwudziestopięciolecie Galicyjskiego Towarzystwa leśnego.

W ostatnich czasach spotykamy się z coraz częstszymi zjazdami z całej Polski — zjazdami uczonych, literatów, dziennikarzy, lekarzy i ot, leśników. Fakt ten świadczy o wzroście uczuć narodowych, świadczy, że cały ogół zaczyna odczuwać potrzebę ogólnego, wspólnego życia. Na zjazdach takich ludzie zapoznają się społem, poznają wzajemnie stosunki, potrzeby i pragnienia, zbliżają się razem i jakie takie wspólne zaznaczają pola pracy. Jest to dla nas konieczne.

U innych narodów czyni to państwo, ono zaspokaja potrzeby i stara się o *jednolitość* w danej akcyi. A przecie mimo to samo społeczeństwo wiele spraw załatwia drogą zorganizowanej samopomocy. A my, pozbawieni własnego rządu, musimy przedewszystkiem i wyłącznie starać się o wytworzenie *samopomocy* społecznej we wszystkich kierunkach pracy.

Zjazd leśników, jaki odbywał się od 19 do 22 b. m. w Krakowie, miał na celu przedewszystkiem zapoznanie się leśników ze wszystkich zaborów i położenie podwalin pod jednolitą w Polsce gospodarkę leśną.

Lasów u nas jest dużo, a mimo to zyski, jakie z nich ciągniemy, są w porównaniu z innymi krajami bardzo szczupłe. Wprawdzie kultura lasowa mniejsze daje dochody, niż kultura rolnicza, wszakże gospodarka leśna w większości w Galicyi i w Królestwie prowadzona jest zupełnie bezplanowo i niesystematycznie. Czynnikiem, który wielce wpłynąć może na zmianę stosunków na lepsze jest uzyskanie polskiej akademii leśnej, a przez to wychowanie fachowych na tem polu pracowników, których nam brak zupełnie. Są usiłowania, aby akademia taka powstała w Warszawie, niestety niema widoków uzyskania tego; natomiast istnieje średnia szkoła leśna we Lwowie i ta powinna być zmieniona na wyższą, na akademię.

Zjazd obecny, któremu przewodniczył p. Józef Rivoli, prezes wydziału leśnego w Poznaniu, rozpoczął swoje obrady od referatów, przedstawiających rozwój polskiego leśnictwa w wieku XIX. w każdym zaborze, następnie zajmował się rozpatrzeniem wpływów, jakie wywierają na leśnictwo panujące obecnie kierunki ekonomiczne, rozpatrzeniem stanowiska społecznego, jakie zajmuje u nas leśnictwo, zajmował się ustaleniem polskiego słownictwa w zakresie leśnym, szkołą wyższą leśną w Warszawie i rzeczami specyalnemi, dotyczącemi techniki gospodarstwa lasowego.

Dla ustalenia słownictwa leśnego i w sprawie założenia wyższej szkoły leśnej w Warszawie, która upadła w r. 1816, postanowiono powołać do życia osobne komisye, mające się temi zagadnieniami zająć. Postanowiono wszcząć usiłowania, aby założyć osobne Towarzystwa leśne w Poznańskiem i Królestwie; co do Poznańskiego — to należałoby rozszerzyć sekcyę leśną, istniejącą przy Towarzystwie gospodarczem; za organ polskich leśników uznano wychodzący we Lwowie miesięcznik „Sylwan“. Powzięto również uchwały, zmierzające do oświecenia ogółu w sprawie tępienia owadów, będących największymi szkodnikami lasów, i pielęgnowania ptaków (zwłaszcza sikor i szpaków), które są najlepszymi tępicielami szkodliwych lasom owadów.

Trudno nam tu w korespondencyi przedstawiać dzieje leśnictwa polskiego, uczynimy to w osobnym artykule w następnym numerze „Pracy“.

Czytelnicy „Pracy“ przypomną so.

---

czynami, nieistniejącą wielkością; ale rozsądnemu każde pochlebstwo jest niesmaczne, a nieprawdziwe — serdecznie boli.

A nam, gdy mówi ktoś o Galicyi, jako o polskim Piemoncie, serce się krwawi.

W istocie ze wszystkich zaborów polskich, znajdujemy się w warunkach niechybnie najpomyślniejszych. Posiadamy najwięcej wolności politycznej pozwalającej na wzrost i ugruntowanie naszej idei polskiej; posiadamy najwięcej sposobności zdziałać dużo dla rodaków naszych gdzieindziej, posiadamy warunki na stworzenie w Galicyi ostoi niezłomnej i silnej, trwałej twierdzy polskości.

Minister austryacki Beust, gdy mu zwracano uwagę, że za wiele pola do pracy, za wiele prac narodowych nadaje Polakom, że oni z czasem groźni stać się mogą dla państwa austryackiego, odpowiedział szczerze, że o Polaków się nie boi; wołają wolności, wolności, a gdy im dać wolność, to zatracą ją, jak zatracili swoją Rzeczpospolitą, państwo swoje.

Ta krwawa prawda ziszcza się niestety na nas sromotnie.

Wobec smutnych warunków, w jakich żyją Polacy w innych zaborach, stosunki galicyjskie Polakom wydają się idealnie znośne. Uzyskawszy jakie takie traktowanie spraw narodowych, ogół uczuł wdzięczność dla dynastyi i dla rządu. Wytworzył się wstrętny serwilizm, lokajstwo, wiernopoddańczość. A lojalność posuwała się niekiedy do tego stopnia, że zapominano o głównej myśli, jaka nami kierować winna i musi zawsze; zapominano często, że jesteśmy synami Polski.

Rząd znakomicie umiał wyzyskać sytuacyę. Pokolenie starsze przykuwał ulgami narodowemi do siebie: jednocześnie zaś przez szkołę szerzył kulturę i tradycye austryackie. Weźmy książkę szkolną, polską, co mówię, wydaną w języku polskim, a zobaczymy olbrzymią większość ustępów, odnoszących się do historyi Austryi, historyi Habsburgów; mamy ustępy o Wiedniu, kościele św. Szczepana, Dunaju, Alpach i t. d. Kiedy niekiedy przemknie się wprawdzie ustęp odnoszący się do Polski: więc z dziejów naszych *przedhistorycznych*, o Leszku, Krakusie, Wandzie, jest tam coś o Wawelu, ale o tem, co jest dziś nam najdonioślejsze, niema wzmianek. Kościuszko, Mickiewicz — to „rewolucyoniści,“ o których dziecku mówić nie wolno.

I ten trąd wsiąka w nas złowrogo. Doświadczyłem tego sam na sobie: pamiętam znakomicie, gdy mnie pytano w dziesiątym roku życia po ukończeniu czwartej klasy normalnej „jakiej jestem narodowości, mówiłem, żem „Galicyanin“ i „Austryak;“ odżegnywałem się od polskości wszelkiemi siłami. Lepiej jeszcze. Jeden z blizkich moich przyjaciół do piątej klasy gimnazyalnej uznawał się za Austryaka! To są przykłady straszne.

Dziś to zamiera coraz więcej. Kie

bie awantury, jakie w styczniu urządzili akademicy ruscy, na lwowskim uniwersytecie, kiedy pobili profesora, zniszczyli sale naukowe, porąbali portrety rektorów w auli itd. Otóż od 2 do 4 września ma się we Wiedniu odbywać proces przeciw tym akademikom. O Wiedeń, o sądzenie przez obcych starano się dlatego, aby w razie zasądzenia hajdamaków przez sędziów Polskich Rusini nie podnieśli krzyku, że są niewinni, a Polacy skazali ich przez „nienawiść“.

Urządzają się młodzieniaszkowie ruscy sprytnie. Oto nasamprzód uciekł główny winowajca Kratt, socyalista przybyły do Galicyi z Rosyi, a teraz donoszą pisma niemieckie, że sąd pozwu o rozprawę nie może doręczyć obwinionym, bo nie można znaleźć ich nigdzie. Tak to postępują bohaterzy! Na profesora uderzają z tyłu, aby nie zostać aresztowanymi uciekają przez okna, a gdy przyjdzie do rozprawy — to uciekają tak samo! Zresztą teraz uniewinnienie ich jest bardzo łatwe. Paweł Kratt siedzi spokojnie i bezpiecznie w Szwajcaryi, a kaucya, za niego złożona, już przepadła. Bez wątpienia wszyscy będą się starali uniewinnić tem, że złożą winę na — nieobecnego Kratta. Środek wypróbowany, popłatny a im zupełnie odpowiadający!

Galicyi zagraża widmo *głodu*. Zniwa w trzech czwartych Galicyi wypadły gorzej, niż źle. Na przestrzeni np. czterech powiatów musiano przeorać 21 tysięcy morgów żyta ozimego. Obszary dworskie doświadczają mniejszej klęski, bo uprawiają przeważnie pszenicę. Ale włościanin stracił prawie wszystko, całą oziminę, a nawet i to, co zostało nieprzeorane jest zarośnięte chwastem tak, że z trudem da się oznaczyć, jaki gatunek zboża posiano.

Jak wielki jest brak chleba już dzisiaj, okazuje się najlepiej po ruskich agitatorach, którzy z wiosną wydali hasło strejku rolnego, co miał zakasować wszystkie poprzednie, a obecnie umilkli zupełnie.

Poseł demokratyczno-narodowy, Jan Zaworski, wnosi w „Słowie Polskiem“ projekt, aby wobec tego ciężkiego położenia każdy powiat sporządził dokładny wykaz szkód i potrzeb ludności i odniósł się z tem do Sejmu, który został zwołany na 16 b. m. Sejm zaś musi uchwalić, jakie nadzwyczajne kredytu i zażądać pomocy od rządu centralnego. Sprawa piekąca.

W.

List z Galicyi.

Rzochów, w sierpniu.

W ostatnim liście rzuciłem kilka ogólnych uwag o naszem obecnem położeniu narodowem w Galicyi a między innemi, że jedną z najważniejszych spraw narodowych jest sprawa demokratycznej reformy wyborczej do *Sejmu krajowego*. Zasadniczym błędem obecnej ordynacyi sejmowej jest jej system kuryalny, system oddający jednej i to bardzo nielicznej warstwie, (właścicielom dóbr) dominujące stanowisko w Sejmie. Prócz w odrębnej kuryi wielkiej własności konserwatyści zdobywali dotąd także większość mandatów z kuryi włościańskiej dzięki wyborom pośrednim, a także i kilka z miast wskutek różnych ubocznych czynników.

Tak wybranemu Sejmowi nie mającemu żadnego oparcia w masach ludowych brakło niestety nie raz potrzebnego zmysłu politycznego, by wznieść się ponad swój ciasny interes kastowy, a wszelki zdrowszy głos z demokratycznej lewicy pochodzący był bardzo często głosem wołających na puszczy....

Trudno zapoznawać wiele szerokich i donioslych dla społeczeństwa spraw jakie nasz Sejm w ciągu 46 letniego istnienia załatwił. Nie należy jednak zapominać, że w wielu znowu sprawach stanowisko większości Sejmowej było chybionem, że wspomnimy tutaj ogromnie krzywdzącą lud ustawę łowiecką, lasową, gminną. Zwłaszcza w tej ostatniej okazuje się ta chybiona polityka naszych stańczy-

---

dy jeszcze przed laty pięciu, sześciu w pismach polskich więcej spotykało się wiadomości o Marokku, o Korei, o wojnie chińsko-japońskiej, niż o stosunkach w Poznańskiem, w Królestwie — to dziś każde prawie pismo ma specyalne rubryki „z ziem polskich.“ Wielka w tem zasługa, bodaj czy nie wyłączna, kierunku demokratyczno-narodowego, który zapory, wytworzone przez graniczne kordony złamał w duszach naszych i naszych myślach. Jemu też w dużej mierze należy zawdzięczać podniesienie nastroju patryotycznego.

Dawniej patryotyzm zasadzał się na czem? Na gadaniu, na frazeologii. Kiedy urządzono obchód narodowy, to ubierano się w kontusze, śpiewano narodowe pieśni, mówiono wiele — a po obchodzie szło się do handelku na „halbę“ piwka, a potem wracało się do normalnego trybu życia, które było wszystkiem, tylko nie życiem narodowo uświadomionego Polaka. Kupowano towary obce, narzekano na przemysł krajowy, sprawunki załatwiano u żyda, bo on kredyt dawał, którego nie mógł dawać rodak, dzieci na gwałt uczono po niemiecku, bo to „światowa mowa“ i t. d.

Ten patryotyzm „rocznicowy“ i „obchodowy,“ właściwa karykatura patryotyzmu, dziś zanika. Wypływa on z głównych cech naszego charakteru: lekkomyślności i zapalczywości. Dano hasło do powstania, to się szło, choć ani przygotowania dostatecznego nie było. Porywał nas zapał, powoli ostygano w nim, i sprawę naszą — zamiast jej pomódz — tylko się pogarszało.

W naszych oczach zmienia się *typ* Polaka i jego *charakter* narodowy.

Zaczynamy się uczyć: nie umierać dla Polski, ale dla niej żyć. To znaczy: w każdem postępowaniu, w każdym czynie, na każdym kroku *nie wolno* nam zapominać, że jesteśmy Polakami; każdy nasz postępek powinien być i być musi planowy; w życiu codziennem, w najdrobniejszej drobnostce dajmy wyraz naszym uczuciom i pragnieniom i spełniajmy nasze obowiązki.

Taka przemiana duszy polskiej i polskiego charakteru odbywa się obecnie w nas. Uniósł nas prąd obecnego odrodzenia narodowego i silne na nas wyciska piętno. Dusze tężeją, potężnieją siły, wzmaga się praca. Szkolnictwo ludowe i średnie poczyna coraz bardziej iść w duchu narodowym. Oświata wśród robotników i ludu wiejskiego zatacza coraz szersze kręgi. Zaczynamy zrzucać naciskany nam z zewnątrz ubiór austryacki, czując się wyłącznie i jedynie Polakami. Nie fantazye i rojenia kierują naszymi krokami, ale twarda praca i trud znojny.

Zwolna idziemy ku lepszemu.

Co za potęga tkwi w szkole! W Galicyi bywa nieraz, że dziecię, wychowane w duchu narodowym w szkole, uczy praw narodowych — ojca.

I tu wśród Słowaków to samo. Opowiadał mi onegdaj Słowak, że wnuk jego, który uczęszczał do szkół madjarskich, czuje się na współ-Madjarem. Ale oni niekiedy paraliżują zgubny wpływ wychowaniem domowem.

Ale, ale. Chciałem wrażenia swoje letnie Wam opisać, a tymczasem skręciłem do polityki. Bo około niej u nas prawie wszystko obracać się musi.

M. N.

ków. Zamiast w okresie pierwocin życia autonomicznego zbliżyć się do ludu, aby go do wspólnej pracy pozyskać, uchwala się odłączenie obszarów dworskich od gmin — odgranicza się od tego ludu chińskim murem. Nic więc dziwnego, że partye radykalne w wytworzonych przez to stosunkach znalazły doskonały punkt oparcia dla swej agitacyi politycznej, potrafiły rozniecić nienawiść i walkę klasową. Agitacya ta mająca przez błędną politykę większości sejmowej utorowaną drogę święciła swe tryumfy przy pierwszych powszechnych wyborach do parlamentu.

Te dopiero wypadki otworzyły ludziom trzeźwiej myślącym oczy. Stanęliśmy wobec faktu, czy w nieuświadomionych jeszcze warstwach ludowych cieszyć się ma większą sympatyą centralny parlament wiedeński ze szkodą idei autonomicznej czy polski Sejm we Lwowie. Mieliśmy już takie fakta, że roznamiętniony chłop polski oświadczał się przeciw autonomii Galicyi, boć cała agitacya t. z. ludowców nosi na sobie wybitnie centralistyczne piętno. Dość wspomnieć o deputacyi chłopskiej z podziękowaniem Gautschowi za krzywdzący nasz kraj projekt reformy wyborczej i o ostatniej mowie p. Stapińskiego imieniem ludowców w dyskusyi budżetowej.

Gdyby parlament oparty był na szerszej niż Sejm podstawie było by to zwycięstwem idei centralizmu. To też w interesie ogólno-narodowym życzyć sobie wypada, by Sejm nasz nie mniej na demokratycznych jak parlament — podstawach był oparty.

Sprawą tą interesuje się społeczeństwo żywo. Z wzniesionych na wiosnę projektów najlepszym do przyjęcia byłby projekt klubu demokratycznego będący przyjęciem projektu demokratów narodowych, a żądający wyboru $^{2}/_{3}$ przez powszechne głosowanie, a $^{1}/_{3}$ ma stanowić kurya dodatkowa najwyżej opodatkowanych i wykształconych. Ma być to niejako odpowiednik Izby wyższej, konieczny przy jednoizbowym Sejmie.

Rozwiązanie sprawy zależeć będzie od większości Sejmowej: Czy konserwatyści nasi zdobędą się na tyle poświęcenia ze swych przywilejów kastowych, by pójść za głosem społeczeństwa, najbliższa przyszłość okaże, gdyż Sejm zbiera się za parę tygodni. Ostatnio odbyli oni w tej sprawie konferencyę w Busku u hr. Badeniego. Wyniki jednak tej konferencyi są trzymane w tajemnicy.

Z stronnictw żądających reformy wyborczej pierwsze stronnictwo dem. nar. wydało przed paru dniami odezwę wyłuszczającą szczegółowo konieczność takiej reformy i stanowisko stronnictwa i apelującą do opinii społeczeństwa! Odezwa podpisana przez posłów stronnictwa do parlamentu (17) i sejmowych (13) i przez członków komitetu głównego znalazła bardzo sympatyczne przyjęcie.

W interesie narodowym życzyć by sobie wypadało, by w walce tej zwyciężył projekt demokracyi narodowej.

Szermierz.

Wiec „Macierzy Szkolnej“ Cieszyńskiej.

Zakopane, w sierpniu 1907.

W niedzielę dnia 18 b. m. odbył się u nas wiec śląskiej „Macierzy Szkolnej“ przy współudziale z górą tysiąca osób ze wszystkich dzielnic polskich.

Wiec zagaił sekretarz „Macierzy“ delegat p. Mohr Antoni prof. seminaryum w Cieszynie, wyjaśniając cel i

Rzut oka na literaturę bieżącą

przez **M. G.**

2)

Wyspiański.

(Ciąg dalszy.)

Na wesoły nastrój panujący wśród gości, składają się żarty jowialno-rubaszne włościan to znów bystre aforyzmy [1]) zręczne dowcipy poety, dziennikarza, wesołe szczebiotanie panienek z miasta, — a wreszcie czułości młodej rozkochanej pary.

Jaskrawym i wysoce efektownym kontrastem takich scen wesołości jest ukazanie widm — duchów ludzi umarłych. Pomysł to nie nowy w naszej literaturze. Zużytkował go genialnie Mickiewicz w „Dziadach.“ Widma zjawiają się, aby żywym stawiać przed oczy przeszłość jako naukę, lub przestrogę, lub pobudkę do czynu.

Widma w „Weselu“ są (z wyjątkiem narzeczonego Marysi) osobistościami historycznemi i występują, jako wyraz uczuć ogólnych, narodowych.

Oto widmo Stańczyka [2]). W rozmowie z dziennikarzem wypowiada prawdy gorzkie i smutne, gromi egoizm i próżność, brak patryotyzmu. Bolesna tkwi ironia w tem zestawieniu smętnego i zbolałego trefnisia — filozofa z dziennikarzem, szermierzem narodowej sprawy, w pierwszej linii walczącym i narażonym na najcięższe pociski.

W następnej scenie zjawia się widmo rycerza. Mówi o dawnej wielkości, o walkach świetnych i olbrzymich, o wielkich mężach, o nieśmiertelnej sławie. Poeta zapala się, marzy, woła w uniesieniu: Polska, to jest wielka rzecz.

Nagle zmienia się uroczysty nastrój. Zjawiają się groźne mary piekielne — a na ich czele hetman, targowiczanin, sprzedawczyk — Branecki (Branicki) [3]).

Scena ta nadzwyczajnie groźna i jaskrawa, pyszna w przedstawieniu teatralnem. Hetman szamocący się z dyabłem rzuca rozpaczliwe skargi i jęki, to znów cyniczne aluzye odnoszące się do zbrodniczego życia.

Najwięcej zainteresowania budzi w czytelniku widmo Wernyhory [4]).

Wernyhora tem się różni od innych duchów poprzednio się zjawiających, że nie wypowiada swych myśli, lecz daje wprost rozkaz udania się do Warszawy na sejm, na walkę o wolność. Daje gospodarzowi złoty róg, który ma się odezwać, jako hasło jakiegoś wielkiego czynu. — Ze zjawieniem Wernyhory dramatyczne napięcie utworu potęguje się do najwyższego stopnia. Zaczyna się „chwila osobliwa.“ Wszyscy w milczeniu oczekują rzeczy niezwykłych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Aforyzm krótkie zdanie zawierające myśl trafną i głęboką.

[2]) Stańczyk, błazen czyli trefnis jak nazywano w dawnej Polsce ludzi dowcipnych, bardzo inteligentnych i oryginalnych w zachowaniu, mowie i ubiorze. Wyraz błazeń w starożytnej polszczyźnie oznaczał człowieka dowcipnego i zawsze skłonnego do figlów. Przebywali tacy trefnisie na dworach królów i możnych panów, a obowiązki ich polegały na bawieniu króla i gości, na rozśmieszaniu i rozweselaniu. Arcytypem błaznów był Stańczyk, żyjący na dworze Zygmunta Starego. Historya zachowała nam niejeden dowcip Stańczyka zdradzający ironię i głęboki zmysł obserwacyi.

[3]) Branicki, jeden z wybitniejszych dowódców konfederacyi targowickiej, który w zamian za „wierne usługi“ t. j. agitacyę polityczną w interesie Rosyi przyjmował od carowej Katarzyny kosztowne podarki.

Mało jest imion w naszej historyi tak zhańbionych i znienawidzonych, jak imię Branickich.

[4]) Wernyhora, wieszcz i lirnik ukraiński, żyjący w epoce porozbiorowej, Jeremiasz polski płaczący nad upadkiem ojczyzny — nie odegrał nigdy jakiejkolwiek roli politycznej, ale skargi jego i przepowiednie i sama postać jego niezwykła przeszły do literatury i stanowiły wielekrotnie wdzięczny temat dla artystów

potrzebę omówienia spraw Śląska, a zarazem wzywająo zebranych do ukonstytuowania biura wiecowego. Po wybraniu prezydyum, do którego wszedł także sędziwy poseł sejmowy ze Śląska p. Jerzy Cienciała, zabrał głos referent prof. dr. Buzek, poseł do Rady Państwa, Ślązak, i znakomity znawca stosunków narodowościowych Śląska. Wykazywał on na podstawie ostatniej statystyki rządowej, jakiego upośledzenia doznają Polacy na Śląsku w każdej sprawie, a przedewszystkiem w sprawach szkolnictwa ludowego a niemniej i średniego.

„Położenie nasze na Śląsku jest ciężkie, bo jest ono ustawiczną walką z mocniejszymi nie liczebnie, lecz materyalnie. Tu na Śląsku, toczy się odwieczna *walka polsko-niemiecka*. W walce orężnej zwyciężaliśmy, — jednak walka pokojowa, — walka ekonomiczna jest trudniejsza, bo ma się groźniejszego i silniejszego przeciwnika.“

W jędrnych a wymownych słowach skreślił mówca następnie obecne położenie Śląska Cieszyńskiego. Miasta są w rękach niemieckich i germanizacya ich nie ustępuje, owszem czyni coraz większe postępy. Podczas gdy w gminach rolniczych liczba Niemców się zmniejszyła, co więcej, w wielu gminach niema ani jednego Niemca, w miastach Niemcy rosną i to rosną nieproporcyonalnie. Rość mogą albo przez emigracyę — albo przez wynarodowienie się Polaków. Istotnie wzrost niemczyzny w miastach tłómaczy się tylko szybką germanizacyą żywiołu polskiego. A jest tak, dzięki temu, że w miastach na 60 tys. przeszło mieszkańców, z których blisko połowa przypada na ludność polską — niema ani jednej polskiej szkoły ludowej, — ani jednej klasy polskiej w szkołach.

Niemcy mają na Śląsku 3 gimnazya, 2 szkoły realne, 2 seminarya nauczycielskie, liczne szkoły zawodowe i przemysłowe. Polacy mają tylko 1 gimnazyum polskie i jedno niekompletne seminaryum, które mimo półurzędowych doniesień, o jego usamoistnieniu, — w tym roku jeszcze nie doczeka się otwarcia. Szkoły ludowe polskie są przeważnie jedno i dwuklasowe, najwyżej czteroklasowe, podczas gdy Niemcy mają 8 klasowe.

Brak nam również nauczycieli polskich, bo gdy w szkołach niemieckich na jednego nauczyciela przypada 60 dzieci, w polskich szkołach, mimo, iż klas jest mniej — 90 dzieci. Wskutek braku szkół średnich polskich i zawodowych młodzież polska w ogóle do szkół się nie garnie, — albo uczęszczając do szkół niemieckich germanizuje się i wzmacnia tylko szeregi wrogiego żywiołu.

Niemcy mając przewagę w gminach miejskich i radach szkolnych miejscowych nie dopuszczali wogóle do tworzenia szkół polskich. Oczywiście skutek jest ten, że na 38 tysięcy dzieci polskich, — tylko 24 tysiące uczęszcza do szkół polskich, zaś 14 tysięcy a więc przeszło jedna trzecia do niemieckich lub mieszanych, tj. utrakwistycznych, które przez wielu pedagogów, jak i ludzi prawdziwie pojmujących naukę, — nawet Niemców potępione zostały, jako szkoły szkodliwie oddziałujące na umysł dziecka.

Nic więc dziwnego, że dzięki takiemu stanowi rzeczy germanizacya święci swe tryumfy i pomnaża kadry „janczarami polskimi“ po miastach, — a co więcej wytwarza na wsi typ człowieka mówiącego językiem polskim, a mającego się za Niemca, mimo, iż po niemiecku mimo całej chęci rozmówić się nie potrafi.

Jak po miastach, i po wsiach w południowo - wschodniej połaci kraju czyni spustoszenie germanizacya tak również znów w okręgu północno zachodnim Cieszyńskiego groźną jest dla ludności *czechizacya*. W okręgu frydeckim jest najwyżej 30 tysięcy Cze-

---

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

59)

Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Korpus Geismara zupełnie rozbity stracił 1000 ludzi i 11 dział, a sam wódz w popłochu opuścił pole bitwy. Z polskiej strony zginęło tylko 40 ludzi. Po tej bitwie duma rozpierała serca żołnierzy, jenerałowie nabrali otuchy, a pod sztandary Dwernickiego zbiegali się liczni ochotnicy, między nimi Krępowiecki, Bronikowski, ksiądz Puławski i inni[1]). Kiedy Dwernicki zaczął ścigać nieprzyjaciela, doniesiono mu fałszywą wiadomość:

— Nowy korpus moskiewski przekracza już Wisłę!

A więc szybko cofnął się za Wisłę, ażeby zasłaniać Warszawę.

Dnia 17-go lutego spotkał się z nieprzyjacielem na lewem skrzydle generał Skrzynecki *pod Dobrem*[2]) i starł się z nim mężnie a zaszczytnie, bo przez cały dzień wstrzymywał przeważające znacznie siły korpusu Rosena. W tej bitwie zajaśniały poraz pierwszy tak szczególne męstwo jak i zdolności wojenne generała Skrzyneckiego.

Ale główna ogromna armia Dybicza zwaliła się już pod Warszawę, a jeszcze inny korpus rosyjski pod dowództwem Kreutza przeprawił się przez Wisłę pod Puławami[3]) i zagroził stolicy. I tuż pod Warszawą na moczarzystych, ale równych *błoniach pragskich* rozpoczęły się zapasy całej armii polskiej z ogromnemi siłami Rosyi.

— Co to będzie? Zwyciężymy? Zginiemy? — szeptali trwożnie mieszkańcy Warszawy, spoglądając zdala na te walki nierówne. To też świątynie Pańskie pełne były ludzi, a do Stwórcy wznosiły się nieustannie gorące modlitwy o pomyślność dla polskiego oręża.

Obok pomniejszych potyczek stoczone tu zostały trzy wielkie bitwy:

dnia 19-go lutego *pod Wawrem*,
dnia 24-go lutego *pod Białołęką* i
dnia 25-go lutego, największa, *pod Grochowem*.

W pierwszej z nich, pod Wawrem, Dybicz, mając pod sobą dywizye Rosena i Pahlena, napadł na dywizye Szembeka i Żymirskiego; po mężnem starciu się Polacy cofnęli się o pół mili, straciwszy 2500 ludzi.

— A tom się nie spodziewał takiego oporu Polaków! — krzyczał Dybicz ufny w swe mocne siły i czekał jeszcze na Szachowskiego.

Chłopicki wysłał ku pobliskiej *Białołęce* Jankowskiego i Małachowskiego, a ci stoczyli tu ze Szachowskim zawziętą walkę (24 lutego), w której z polskiej strony padło ludzi 500. Nazajutrz (dnia 25 lutego) o 7-ej zrana wpadł nagle Krukowiecki na cofającego się ku głównej armii Szachowskiego. Wtedy Dybicz z całemi przeważającemi siłami Rosyan uderzył ze wszystkich stron na Polaków pod *Grochowem*, a ta morderczа bitwa wrzała potem przez cały dzień. Szczególnie zażarty bój toczył się na prawem skrzydle polskiem, osłoniętem przez lasek zwany „*Olszynką*“. Po trzykroć wdzierali się do tego lasku Rosyanie i tyleż razy Polacy wyrzucili ich stamtąd. Pod Chłopickim padł jeden koń, potem drugi i on sam ranny został w no-

[1]) Limanowski, 156 (według pamiętn. jener. Kruszewskiego).
[2]) Dobre, w północno wsch. stronie od Warszawy.
[3]) Puławy, nad Wisłą powyżej ujścia Wieprza.

chów, a statystyka wykazuje ich około 80 tysięcy, gdyż wielu Polaków wpisuje się za Czechów, sądząc, że to „pokrokowo“ (postępowo). W przemysłowym okręgu Czesi wytworzyli niższą inteligencyę czeską od kierowników kopalni aż do sztygarów, do czego im pomaga czeska szkoła górnicza w Morawskiej Ostrawie. Jak szybko postępuje czechizacya świadczy Rychwałd, miejscowość koło Bogumina. W roku 1900 było tu 4500 Polaków i 12 Czechów. Ponieważ otwarto tu szyb czeski, sprowadzono inżynierów i urzędników czeskich; ci zażądali zaraz czeskiej szkoły, a gdy im odmówiono, założyli najpierw jedną, a następnie drugą szkołę czeską prywatną, a po pewnym czasie zmusili gminę do przyjęcia obu ich szkół na etat własny. Do tych szkół uczęszcza obecnie 517 dzieci polskich.

Praca narodowa na Śląsku Cieszyńskim musi iść przedewszystkiem w kierunku stworzenia polskiego stanu średniego. Potrzeba nam szkół rolniczych, których Niemcy posiadają dwie, my zaś mamy tylko kursy zimowe, jakkolwiek Niemców rolników na Śląsku Cieszyńskim wcale niema.

Potrzeba seminaryum nauczycielskiego, któreby dawało rocznie 30—40 abituryentów Polaków, gdyż dziś niemieckie dają najwyżej 15 Polaków nauczycieli — czasem bardzo słabo mówiących po polsku.

Potrzeba w miastach przeciwdziałać germanizacyi dzieci, zakładając polskie szkoły prywatne, które łatwo jest później przenieść na etat krajowy, — wreszcie potrzeba nam koniecznie polskich ochronek.

Ta akcya wymaga znacznych środków materyalnych, którym sama ludność śląska podołać nie może, nie mając zamożniejszej klasy średniej. Potrzebną więc jest pomoc całej Polski.

Mówca zakończył swój referat wśród niemilknących długo oklasków.

Po nim przemawiał poseł dr. German, omawiając szeroko potrzeby szkolnictwa, jego niedomagania i usterki, oraz dał pogląd na reformę w duchu narodowym. Szkoła ma kształcić społeczeństwo, a skoro tak jest, to musi ona do zewnętrznych objawów i wewnętrznych aspiracyi tego społeczeństwa być dostosowaną, gdyż w przeciwnym razie zmieni się z celem, i zamiast wychowawczynią, będzie jakby karbem tego społeczeństwa, na którem będzie wyciskał on piętno swe, wykrzywiając je i spaczając jego przyrodzone pojęcia.

I tę mowę przyjęto burzą oklasków, poczem zabrał głos ks. pastor Michejda, jako delegat „Macierzy.“ W imieniu ludności śląskiej dziękował on mówcom i publiczności, która tak licznem zebraniem zadokumentowała gorące zajęcie się, sprawami prastarej a odradzającej się dzielnicy piastowskiej.

Imieniem włościaństwa polskiego przemawiał góral Józef Curześ, wzywając do zapisywania się na członków „Macierzy.“

Rezolucye uchwalone brzmią: Wiec uznaje potrzebę obrony ludności polskiej na Śląsku jak też uważa „Macierz Szkolna“ za instytucyę do tego powołaną. Przeto tę instytucyę poleca popierać wszelkiemi siłami. Stwierdzając zarazem upośledzenie ludności polskiej, wiec wzywa powołane do tego czynniki, by te zechciały krzywdy te usunąć, wreszcie wobec niedostatecznej reprezentacyi polskiej ze Śląska, wiec wyraża nadzieję, że posłowie polscy potrzeby narodowe na Śląsku, będą uważali za sprawy pierwszorzędnej wagi i na równi z potrzebami Galicyi będą o nie walczyli.“

Podobny wiec odbył się we czwartek w Krynicy, gdzie referowali również posłowie dr. Bużek i dr. German, nadto przemawiała p. Sykałowa, żona inżyniera górniczego ze Śląska.

(*B—e.*)

---

gę. Skrzynecki ze swą dywizyą trzymał się wytrwale w lasku olchowym, aż do 2-ej po południu osłabiony stratami zaczął się chwiać i ustępować. Wtedy Chłopicki staje na czele dywizyi Szembeka, prowadzi ją mężnie naprzód i wnet zwycięstwo na stronę polską przechylać się poczęło. W tem granat zabija pod nim trzeciego konia i on sam raniony silnie w drugą nogę spada na ziemię.

I walka byłaby się skończyła straszną klęską Polaków, gdyby nie męstwo generałów Szembeka, Skrzyneckiego i Umińskiego.

Do godz. 4-ej popołudniu wytrzymywała dywizya Szembeka w Olszynce morderczy ogień 250 dział rosyjskich, a potem wraz z dywizyą Skrzyneckiego cofnęła się w największym porządku ku Pradze. Osłaniała ten odwrót jazda Umińskiego, wstrzymywały go jednak zawzięte ataki rosyjskiej jazdy, dopóki nie nadszedł Krukowiecki. Wojsko polskie przeprawiło się na lewy brzeg Wisły, rosyjskie, ogromnie znużone, pozostało w miejscu. Błysnęły ognie i Praga, zapalona przez Małachowskiego, stała w płomieniach, odstraszając Rosyan. Nie ustępowała artylerya polska rosyjskiej, choć o połowę od niej mniejsza, a wódz jej Piętka, nie mając już amunicyi, usiadł na dziale i czekał.

— Uprowadzaj baterye z pod morderczego ognia Moskali! — wołano nań.

— Ani kroku nie ustąpię, dopóki nie przybędzie świeża amunicya! — odpowiedział nie ruszając się.

Walka pod Grochowem była nadzwyczajnie zacięta i morderczа, a toczyła się o każdy krok naprzód, o każdą piędź ziemi. Zginęło tu z polskiej strony 7400 ludzi, między nimi padł generał Żymirski.

We wszystkich opisanych wyżej bitwach zginęło więcej niż 10,000 ludzi ze strony polskiej, straty Rosyan były dwa razy większe.

2. Po bitwie pod Grochowem.

Te nadzwyczajne nierównych sił potykania się i walki wzbudzały podziw i uznanie w świecie całym, gdzie o ich wynikach dowiadywano się ze zdumieniem.

— Cóż to za siła, cóż to za żelazna wytrwałość, jaką znów zajaśniało to mężne wojsko polskie, nieśmiertelną zyskując chwałę!

Takie powszechne głosy uznania biegły po Europie, ale w Polsce nie odbiły się podobnem echem. Owszem zwątpienie napełniało już serca i w następujących objawiało się zdaniach:

— Mamy dzielne wojsko, lecz brak nam dobrych generałów, a ci co są, to ludzie niesforni i nieudolni! I brak nam jednolitego dowództwa, bo rozkazy Radziwiłła i Chłopickiego często ze sobą się krzyżowały!

— I czegoż chcecie? — brzmiała odpowiedź umiarkowanych i nie wątpiących umysłów. — Czyż Praga i stolica nie zostały uratowane, a pełne zapału wojsko nasze czy nie jest gotowe i nie czeka tylko na dalsze boje?!

Ale w Warszawie szerzył się już popłoch i rosło oburzenie.

— Doraźnych sądów na winnych generałów! — krzyczeli burząc się niżsi oficerowie, gromadzący się w osławionych kawiarniach u „Marysi“ i „Honoratki.“ [1])

---

[1]) Oburzanie to najwięcej wyrażało się przeciwko upartemu Chłopickiemu, i wtedy ukazały się na latarniach kartki z napisem: — Precz z gen. Chłopickim, niech żyje dyktator Lelewel!

Przegląd prasy.

By użyć słów Juliusza Słowackiego, powiemy, że „*Gazeta Ostrowska*" w dalszym ciągu sięga do trzew narodu i niemi targa." Tym razem przedmiotem bolesnych jej operacyi jest — nasza prasa. Pogromca narodu, p. Kasper wali prasę naszą za to, że milowe sprawozdania umieszczała ze zjazdu hakatystycznego, a już najbardziej mu się nie podoba to, że kilka pism umieściło w parę dni po zjeździe artykuł „znieprawienie myśli polskiej," podpisany „emwu." Pan Kasper domyśla się, że to „ktoś obcy," a jego czysto-polska dusza drży z oburzenia, że śmie on „gorzkie słowa prawdy rzucać na łamy pism naszych."

„Więc — woła — już nie stać nas nawet na ludzi, którzyby, widząc nasz upadek, słowami natchnionemi i sercem, które ból straszny porwał na sztuki, umieli nas zwrócić z drogi spadzistej, po której toczymy się w gwałtownym pędzie ku przepaści.

„Nawet do wyrażenia naszego bólu serdecznego musimy sobie „*nająć*" człowieka! Zgnilizna i upadek moralny wszędzie. Nawet do prasy naszej, tych stróżów i redut naszej narodowej myśli i kultury zaczyna się zakradać znieprawienie myśli i duszy polskiej."

Zaprawdę wątpić by o sobie trzeba czytając takie zarzuty. Biedny Kasper! Przed bólem serca jego, poszarpanego na sztuki majaczą widma „naszego upadku" i „przepaści, ku której w gwałtownym pędzie toczymy się po spadzistej drodze." Majaczy mu się „zgnilizna i upadek moralny" i „znieprawienie prasy naszej" za to, że rzekomo „najęła" sobie człowieka „do wyrażenia naszego serdecznego bólu."

Otóż nasampierw nieprawdą jest, że ów artykuł o znieprawionej myśli polskiej pochodzi od „kogoś obcego." „Dz. Kujawski" zaręcza, że artykuł ten pochodzi od jednego z najzacniejszych obywateli bydgoskich. My wiadomość tę możemy tylko potwierdzić, choć artykułu samego nie otrzymaliśmy ani nie umieściliśmy. Więc całe wynurzenia „serca bólem poszarpanego w kawałki" na znieprawienie prasy za to, że od kogoś obcego przyjmuje gorzkie słowa prawdy dla własnego społeczeństwa, na fałszywem polegają przypuszczeniu, innemi słowy: są niesłuszne.

Nie można odmówić jednakże pewnej racyi żalom pana Kaspra na to, że

„pisma nasze obciążone są nad miarę pracą — że praca ta przechodzi siły jednego redaktora — że społeczeństwo z obojętnością przyjmuje wszelkie nawet najserdeczniejsze wylewy — że oburza się na każde zdanie śmielsze, na każdą krytykę, nawet na cień krytyki skierowanej przeciwko naszym wysoko postawionym — że niezliczona ilość względów i względzików przytępić musi każde subtelniejsze odczucie, wysuszyć mózg, wyjałowić serce."

Tak niestety jest. I gdyby „Gazeta Ostrowska" dwóch tych rzeczy nie była pomieszała jak groch z kapustą, gdyby była myśli wypowiedziane w ostatnim tym ustępie należycie i logicznie rozprowadziła, mogłaby była sobie zasłużyć na wdzięczność z dwóch stron — od prasy i od społeczeństwa. Kwestya tylko w tem, w jaki sposób doradzałaby naprawy tego złego, które odkryła. Bo niedość jest odkryć złe, trzeba podać sposób zapobieżenia mu, zaradzenia, a to podobno trudniej, jak łzy ronić nad owem złem. Zresztą odczekajmy, może „Gaz. Ostr." i na to poradzi.

„*Dziennik Kujawski*," z którym w sprawie akcyi wiecowej o projekt wywłaszczenia stoimy na stopie wojowniczej, powtórzył niedawno za „Germanią" wiadomość, jakoby

„Praca" poznańska doniosła, że Polacy naradzają się poufnie, co zrobić, gdy przyjdzie wywłaszczenie. Nic pewnego nie wiemy — tak miała pisać „Praca" — ale domyślamy się, że chodzi o założenie akcyjnego banku niemieckiego z pomocą Polaków ze wszystkich trzech zaborów itd."

— Układów, układów, niema już możności do dalszej walki — wołali naradzający się generałowie.

Lecz Rząd Narodowy nie zwątpił i przeprowadził wybór nowego naczelnego wodza w osobie gener. Jana Zygmunta Skrzyneckiego, gdy Chłopicki ranny odjechał wnet do Krakowa. Do boku Skrzyneckiemu dodani zostali najzdolniejsi młodsi generałowie: Chrzanowski został szefem sztabu, Prądzyński kwatermistrzem generalnym; generał Krukowiecki wybrany gubernatorem stolicy.

Osłabieni Rosyanie zaprzestali dalszej walki, a Rząd Narodowy polski użył tego czasu na wzmocnienie stanowiska tudzież na powiększenie i uzupełnienie swego wojska. Wkrótce też czynna armia polska wynosiła więcej niż przedtem uzbrojonego żołnierza, bo 70,000, nie licząc około 20,000 załóg i rezerwy. Na Litwę i Ruś podążyli wysłańcy polscy, a generał Dwernicki otrzymał rozkaz, aby z za Wisły ruszył na Wołyń i wsparł tamtejsze powstanie.

Byli mężowie, którzy pod wpływem bitwy grochowskiej zwracali uwagę posłów na wielką ważność sprawy włościańskiej i aby pozyskać włościan dla powstania radzili nadać im gruntową własność, a dla mieszczan znieść znienawidzone monopole i pozyskać żydów przez przyznanie im wszystkich praw obywatelskich. Taki wniosek postawił Szaniecki na sejmie dnia 28 lutego, lecz bez skutku. Alojzy Biernacki wniósł dnia 28 marca projekt, nadający drobnym rolnikom w dobrach narodowych gruntową własność — co już było uznane w r. 1784, a potwierdzone przez Sejm Czteroletni w r. 1792; — projekt *znoszący pańszczyznę* a zamieniający ją na czynsze, co także oddawna miejscami się praktykowało; projekt rozdrabniający większe folwarki na mniejsze. Ale Szaniecki daremnie odwoływał się do sejmów i daremnie przemawiał pełnymi zapału, a przekonywającymi wyrazy [1]).

Generał Skrzynecki, chociaż był wodzem dzielnym i doskonałym w walce pod rozkazami innych, na samodzielnego, naczelnego wodza nie miał zdolności. Gdy należało szybko działać, Prądzyńskiemu przyszła genialna myśl do głowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wzburzone tłumy pod wodzą kierowników napadały na posiedzenia Rządu Narodowego, rzucały się na więzienia. Wyciągano gwałtownie obwinionych i wymierzano im doraźne kary. Tak później powieszeni zostali na latarni generałowie Bukowski i Jankowski, tylko za zaniedbanie i niedołęstwo, a wcale nie osądzeni, ani o zdradę nie przekonani; tak powieszeni Hurtig, Sałacki, Fencz, Bętkowski i Rosyanka Bażanow, jakoteż posądzeni o szpiegostwo z czasów Konstantego: Szlej, Makrot i Szymańowski. — Sokołowski. IV, 1548. 1637.

[1]) Idźmy w ślady patryotyzmu Sejmu Czteroletniego — mówił Szaniecki, poseł Stobnicki, — i odznaczmy sejm nasz teraźniejszy uchwałą podobnie szlachetną, chwalebną, sprawy narodowej godną, uchwałą, niszczącą *pańszczyznę*, ten ostatni zabytek feudalizmu (średniowieczne prawo pana nad poddanymi)! Postawmy Polskę na wyższym stopniu cywilizacyi europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności! Milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której milion wolnych jej właścicieli utworzymy. Milionem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentacyą narodową, bo milionowi niezawisłych obywateli nadamy prawa polityczne. W tem leży dobro kraju, honor i znaczenie narodu i nawet w razie jego upadku uchwała taka zostałaby pomnikiem wielkiego postępu cywilizacyi w narodzie naszym!

Świdziński, poseł Opoczyński dodał wniosek, aby utworzyć instytut nauczycieli wiejskich i w ten sposób przygotować szkółki parafialne dla całego kraju. — Limanowski, 158—160; Morawski, VI, 355.

Wyczytawszy wiadomość tę wysłaliśmy natychmiast do redakcyi „Dz. Kujawskiego“ doniesienie, że — „Praca“ żadnej takiej wiadomości nie umieściła. „Dz. Kuj.“ jako przyczynę podania powyższej wieści za „Germanią“ podaje powód, że redakcya „Dz. Kuj.“ nie odbiera „Pracy.“

Dla czego jednakże redakcya „Dz. Kuj.“ tak pochopnie wierzy „Germanii,“ że to, co ona pisze jest prawdą, albo to, że powołuje się ona na prawdziwe źródło?

A jeżeliby i tak było, to jeszcze nie racya, żeby za *„Górnoślązakiem“* z powodu wiadomości „Germanii powtarzać skierowaną przeciwko nam reprymendę tej treści:

„że wielu Polaków nie pozbyło się jeszcze mimo przykrych doświadczeń jednej wielkiej wady, to jest gadatliwości. W polityce nic gorszego nad gadatliwość; w naszych stosunkach wada to stokroć gorsza, aniżeli gdzieindziej.

Całkiem by było naturalnie, gdyby Polacy myśleli nad sposobami obrony przeciw wywłaszczeniu. Lecz nadzwyczajną niemądrością byłoby, gdyby swoje myśli obronne już teraz rozpowiadali. Byliby podobni do forpoczty we wojnie, która zamiast siedzieć spokojnie i czuwać, co chwilę sobie wystrzeli — na wiwat i na ostrzeżenie nieprzyjaciela.

Gadatliwość polska jest tak wielką, że rząd pruski wcale szpiegów nie potrzebuje, aby znać najtajniejsze myśli i zamiary obronne Polaków. Wszystko mu sami wygadają i wypiszą.“

Czytając te uwagi „Górnoślązaka“ powtórzone przez „Dz. Kuj.“ odnosimy wrażenie, jakoby „Górnoślązak“ odpisał z pisma naszego argumenty skierowane przeciwko akcyi wiecowej w sprawie projektu o wywłaszczenie, i jakoby nas bił naszemi własnemi słowami.

I kto to zwraca się przeciwko gadatliwości? „Górnoślązak,“ który co chwilę nieomal zdradza, jak bardzo mu na sercu leży kompromis z centrum — i „Dziennik Kujawski,“ który gwałtem pcha społeczeństwo do gadatliwości na wiecach!! To prawie ironia.

Radzimy obu pismom uderzyć się mocno, albo bardzo mocno w piersi i — choćby przeprosić społeczeństwo za zbytnią własną gadatliwość. My się za niesłuszny zarzut mścić nie będziemy.

Brzydki zwyczaj zaobserwował *„Dziennik Berliński“* wśród dzieci polskich kolonii berlińskiej.

„Zauważyliśmy — pisze — u nich wielki brak szacunku dla osób starszych, nawet dla własnych rodziców. Dzieci tu postępują sobie ze starszymi prawie że „za pan brat.“ W niektórych domach, w których obyczaj polski zanika, mówi 10-letni chłopak do ojca i matki z niemiecka „ty,“ o całowaniu rąk rodzicom, krewnym, osobom starszym, a mianowicie paniom niema wcale mowy.

Tak „wychowane“ dzieci mięszają się nieproszone i niewzywane do rozmów osób starszych, znoszą z ulicy różne berlińskie „dowcipy“ i niemi się popisują w rodzinie i w kole znajomych. Znamy tu ojców rodzin, którzy się nawet cieszą z opowiadania takich dowcipów syna i którzy je sami dalej opowiadają. Naturalnie w takiej atmosferze dzieci nie mogą żadną miarą nabrać szacunku ani dla własnych rodziców ani dla osób starszych.

Z tego braku szacunku dla ludzi starszych wiekiem pochodzi też ogólnie tu zakorzeniony brzydki, od Niemców przejęty zwyczaj dzieci bezceremonialnego podawania rąk osobom starszym.

Gdziekolwiek się tu przyjdzie, czy do towarzystwa prywatnego czy na jaką zabawę publiczną lub wycieczkę, wszędzie widzi się, jak chłopak dziesięcioletni lub dziewczę siedmioletnie bez ceremonii, zamiast ukłonić się pięknie z daleka i czekać na przyzwanie, bez ceremonii wyciąga rękę do starszych **i potrząsa im ręce, jakby im taki dzieciak był wiekiem i stanowiskiem** równy. Nie zważa na wiek danej osoby, ani na płeć, ani na jej stanowisko społeczne, tylko zupełnie bez szacunku zbliża się do starszych. Oczywiście nie czuje wcale, **jak to jest brzydko i niestosownie, bo właśni rodzice go szacunku dla starszych nie nauczyli.** Oni sami dziecku w towarzystwie rękę podają jakby ono im było równe, sami pozwalają, że im dzieci innych rodziców rękę bez ceremonii podają i ich ręką potrząsają, więc skąd ich własne dzieci mają się nauczyć szacunku dla starszych?

Musimy tu na obczyźnie koniecznie wrócić do starego dobrego zwyczaju polskiego chowania dzieci w odpowiedniej karności i wpajania im szacunku dla osób starszych, inaczej, gdy na ferye pojadą do stron rodzinnych, lub gdy wogóle do nich [illegible], uchodzić tam będą za nieokrzesane, źle wychowane.

Dzieci berlińskie, mianowicie chłopcy, nie mają dobrej opinii w kraju, widzimy to co rok przy pracy w komitecie kolonii feryjnych. Z trudem wielkim udaje się komitetowi wypukać w Księstwie parę miejsc w gościnnych domach dla chłopców berlińskich.

Szukajmy przyczyny tego w złem ich wychowaniu, a przedewszystkiem w rażącym u nich braku szacunku dla osób starszych, objawiającym się między innemi w owym brzydkim niemieckim zwyczaju potrząsania rąk osobom starszym przez lada chłopaka lub wyrostka“.

Gdzie jesteś...

Gdzie jesteś, który-ś mi skrzydły swemi
Unosił ducha z ponad tej ziemi
W górne krainy blasków świetlanych,
Promiennych zarań, zorzy rumianych,
W jakieś niebiańskie urocze gaje,
Gdzie nam się dla serc otwarły raje;
Gdzież jesteś!...

Dawno cię pokrył zimny kurhanek,
W grobie legł boski duszy kochanek;
Jednak jest ze mną i wciąż mi świeci
Wpośród posępnej życia zamieci
Jako jarząca jasno pochodnia,
Która jednako lśni dla mnie co dnia
Ach jesteś!...

Znów Betlejemską gwiazdą mię wiedziesz
Wozem Eljasza ślad znacząc jedziesz
Widzę Cię w blaskach, a nie w mogile
Jesteś tu dla mnie w tę próbną chwilę,
Abym wytrwała mąk tych tortury
Na to Ty tutaj zstępujesz z góry...
Tuś jest! —

Tak tu i wszędzie zawsze-ś jest z mną
Ścieląc snop świateł, w noc życia ciemną
Co w mroku na swe zdobycze czycha,
Zmysły niewoli a w przepaść spycha.
By chronić serce moje od skazy
I duszę ziemskiej ustrzedz zarazy
Tyś jest!

Przemawiasz ku mnie niememi tony
Ja jednak słyszę głos ten pieszczony
Bo silnem tętnem serce poruszy
Mocniejszem czuciem ozwie się w duszy
W struny ukryte trąci tajemnie
Och!... z niebios wionie tutaj na ziemię
Jest! Jest! —

Luby, kochany odejdę z Tobą! —
Jak tu z podwójną mam żyć żałobą!
Naród nasz cierpi, a Tyś w mogile
Pozwól mi skrócić te życia chwile
Do portu żagli tu nie zawinę
Lepiej się z Tobą w przestwór rozpłynę
Tam-ś jest!...

Więc idź! świat woła, Ty rzeczesz: „Zostań,
„Pamiętasz chwile tych cierpień, rozstań?...
„One ci duszę spłókały z winy!...
„Od Boga niosę tobie wawrzyny
„Cichych ukorzeń dla twojej duszy
„Niechaj cię więcej rozpacz nie wzruszy
„Jam jest!!...“

Tyś jest o duchu, słodki a cichy —
Boskich nektarów ślesz mi kielichy
Tej co pod krzyżem cierpień upada
Sunąc jak widmo rozpaczne, blada
Z wszechświatu tony pochwyci drżące
Twoje to dzięki z nieba płynące
Któryś jest! —

„Na posterunku zostań wytrwale
„Siałaś ze łzami to zbierzesz w
chwale.“
Ty mi to mówisz aniele boski
Podnosisz ducha ze zwątpień troski
Wskazujesz życia podniosłe cele
Czuję obecność tu Twą, aniele!
Jesteś tu!!!

A. E. Piechowska-Monsztern.

Berlin.

Listy od Przyjaciół.

Poznań, w sierpniu b. r.

Sprawa elementarza polskiego.

W artykule wstępnym „Pracy“ z dnia 28 lipca r. b. zatytułowanym: „O potrzebie podręcznika do nauki polskiej“ wygłasza autor zdanie, iż nie mamy podręcznika, któryby był odpowiedni do nauki *domowej* polskiego czytania i pisania i jest mniemania, iż podręczniki istniejące nie odpowiadają swojemu zadaniu, bo zanadto są urządzone na modłę szkolną i wymagają od ojca i matki, ażeby byli nauczycielami; autor porusza wskutek tego myśl wydania nowego stosownego podręcznika i podaje wskazówki, w jaki sposób podręcznik ten powinien być ułożony.

Autorowi owego artykułu należy się wielkie uznanie. Widzi on jasno i jest świadom tego, iż poruszenie sprawy elementarza i wciągnięcie tejże w sposób naznaczony do ogólnej publicznej dyskusyi w chwili obecnej, a mianowicie wobec ostatecznego wyzbycia się przez strejk szkolny wszelkiego złudzenia, jakie w sprawie nauki szkolnej wśród nas dotąd jeszcze istniało, *jest sprawą naszą najprzedniejszą*. Oby całe społeczeństwo zrozumieć zechciało, *iż sprawa elementarza polskiego jest dziś dla nas sprawą największej doniosłości*. Jeśli społeczeństwo nasze to uzna i sprawę stworzenia nowego elementarza teraz zapoczątkuje i ku urzeczywistnieniu poprowadzi, to będzie to dowodem wysokiego stopnia naszej narodowej dojrzałości.

W doskonałość owego przyszłego elementarza wierzę mocno. Roztworzy on na oścież wrota do chat naszych i doczekamy się tej radości, iż za tym elementarzem Mickiewicz, Sienkiewicz i inni do strzech naszych *rzeczywiście* zagoszczą, a wtenczas myśl polska, nasze polskie zwyczaje i obyczaje i duch polski w całym narodzie z większą siłą odżyją i do coraz wyższych wyżyn podążą.

Jeśli więc społeczeństwo rzuconą myśl podejmie i urzeczywistni, to dozna system pruski i w tym przypadku niemiłego zawodu i przyczyni się do naszego narodowego wzmocnienia, przyczyni się do tego, że i tu o własnych siłach staniemy i skarby nasze narodowe, a mianowicie ukochaną naszą piękną mowę i naukę polskiego czytania i pisania o własnych siłach nadal pielęgnować będziemy, pomimo wszelkich przeszkód, które nam wrogie zapędy w drogę stawiają. A to wszystko stać się ma za sprawą przyszłego elementarza.

Tak jak niegdyś Niemcy głosili, iż to ich nauczyciel ludowy w pewnych wojnach wrogów zwyciężył, tak też ostatecznie zwycięży nasz przyszły elementarz naszego wroga, to jest ów dzisiejszy barbarzyński system pruski.

Niech się zatem społeczeństwo nasze ruszy, ażeby stworzyć dzieło, które nas wzmocni i podniesie.

Dalsza wymiana zdań niech wyjaśni, na jakiej drodze dzieło to uskutecznić wypada, czy przez wiece, komitety lub odezwy, czy też może przez powierzenie uskutecznienia tej sprawy jakiemukolwiek już istniejącemu stowarzyszeniu, stojącemu na straży spraw naszych.

Kto zatem doniosłość tej sprawy odczuwa i rozumie, niech celem poparcia takowej głos zabiera. *Br.*

* * *

Gdańsk, 21. 8. 07.

Hakatysta o artykule „Pracy“.

Szanownej Redakcyi zwracam uwagę na niegodziwe a przytem strasznie głupie wynurzenia „Danz. N. Nachr.“ z powodu artykułu „Pracy“ w sprawie przymusowego wywłaszczenia i szczególnie na to, że pismak hakatystyczny wnioskuje, że *Polacy już dawno by byli [illegible] prawo zaprowadzili*, gdyby w miejscu Niemców stali! — Właśnie tylko naszej wspaniałomyślności zawdzięczają Niemcy, że się dzisiaj na naszej ziemi rozpościerają i nas zupełnie z niej wyprzeć usiłują. Przecież Prusy to w przeważnej części polski resp. słowiański kraj!

Jeszcze głupsza i przedewszystkiem kłamliwa jest uwaga, że Polacy już teraz sobie wiele gorzej z Rusinami postępują, jak to w Prusach nawet po przyjęciu prawa o wywłaszczeniu możebnem będzie! Gdzie to i kiedy zaszedł w Galicyi podobny przypadek? Niech nam to hakatystyczny głupiec udowodni. Dopóki to nie nastąpi, uważamy twierdzenie jego za bezczelne kłamstwo i oszczerstwo. Takie prawa wyjątkowe przeciw jakiejkolwiek narodowości, byłyby w Austryi w ogóle niepodobieństwem.

Przy tej sposobności warto się zapytać, jak długo jeszcze pozwoli rząd austryacki pruskiej hakacie przed całym światem siebie oczerniać i znieslawiać? „Danz. N. Nachr.“ często już w ten sposób o stosunkach galicyjskich się rozpisywały, chociaż tak wielkiego głupstwa dotychczas nie palnęły.

Tak się pracuje dla *„uciśnionej“* niemczyzny w mieście, które dawną swoją świetność jedynie Polakom ma do zawdzięczenia.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesłały nam najpóźniej *do środy wieczorem*. W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Wiec „Straży“ w Dusznikach w sali pani M. May odbędzie się w niedzielę dnia 1 września o godzinie wpół do 4 po południu. Obywateli Dusznik i okolicy zaprasza na wiec ten

Starosta „Straży“.

* * *

Związek kupców podróżujących. Miesięczne zebranie odbędzie się w niedzielę 8-go września o godzinie 10 przed południem w lokalu związkowym przy placu Bernardyńskim nr. 2. O liczne i punktualne przybycie uprasza

Zarząd.

WIELCY.

Ada Negri.

Przekład Maryi Konopnickiej.

Uwielbiam silnych, którym jasne czoła
Duch ucałował błękitów,
Co w najognistszych horyzontach dyszą,
I do najwyższych drżą szczytów...

Których upaja genjusz, pieśń, burza,
Szał życia, wezbrane tłumy,
I wszystkie wzloty, i wszystkie łzy bólu,
I cisze morza i szumy...

Z synajskich wyżyn, co wyroczne słowo
Rzucają poklękłej ziemi,
A w śmierci nam się jawią wniebowzięci,
Nakryci blaski złotemi.

. . . .

A tych miłuję, co z sercem przebitem
Nadziemską jakąś rozpaczą.

Boskiemi węzły spojeni się czują
Z tymi, co cierpią i płaczą.

Z tymi, co śmiercią Chrystus ich wybawił,
A bracia przeklęli krwawo....
Miłuję takich, co sztandar zórz niosą,
I nowy zakon i prawo...

Co hymn śpiewają przyszłej światła wiosny
Wzniośli nadziei swej szałem,
Przypieczętować męczeństwo gotowi,
Prawdę swą — duchem i ciałem!

. . . .

Lecz płaczę, płaczę najkrwawszemi łzami,
Nad wielkich nieznanych rzeszą,
Nad tłumem głodnych i nędznych, co żadnym
Darem się życia nie cieszą.

Którym przyroda — macochą; a oni
Za swoje nie klną jej męki
I którzy widzą jak cudzy kłos buja,
A swej nie ściągną doń ręki.

Którzy łzy piją, żółć i pohańbienie
Policzkiem krzywdy i wzgardą
Niesprawiedliwą i ślepą, a przecie
Przy sobie dzierżą pięść twardą.

Nad tymi płaczę, których wiedzie życiem
Pokorna, ciernista droga,
Bez chleba ciała i bez światła duszy,
A przecież idą — do Boga.

Co do snu mają garść słomy przegnilej,
Z której ich rankiem głód budzi,
Co na szpitalnym konając barłogu,
Miłują braci swych — ludzi!

Z piśmiennictwa.

Teofil Preiss znany w Poznaniu dyrektor szkoły handlowej i rewizor ksiąg wydał dwa dla młodzieży kupieckiej i przemysłowej ważne podręczniki: *„Książkowość pojedyńcza i podwójna“ dla kupców i przemysłowców z praktycznemi przykładami i dodatkami do wykładów, nauki i praktycznego użytku* (Wydanie drugie) oraz: *„Praktyczna nauka o wekslu“ z przytoczonemi w tekscie wzorami dla nauczycieli jako też do użytku praktycznego i dla samodzielnego pouczenia się.* (Wydanie pierwsze).

Obie te książki można szczerze zalecić ze względu na ich jasny i poglądowy układ i bogaty a niezbędny dla każdego kupca i przemysłowca materyał informacyjny.

Podręcznik o książkowości zawiera przepisy prawne co do prowadzenia ksiąg handlowych z komentarzami, przepisy karne z ordynacyi konkursowej, objaśnienie książkowości w ogóle, zadania do zapisania wypadków handlowych, objaśnienie i wzory pojedyńczych ksiąg handlowych — głównych i pobocznych — różne metody książkowości podwójnej, zamknięcie rachunków, książkowość amerykańską i szematyczne przedstawienie zamknięcia książek.

Podręcznik o wekslu zawiera objaśnienia ogólne, pojęcie i rodzaje weksla, niezbędne warunki weksla, zdolność wekslową, zaakceptowanie i żyrowanie, płatność i wykupienie weksla, protest, domicyliowane weksle, weksle z adresem pomocniczym i t. d.

Książki te znajdować się powinny w ręku każdego kupca i przemysłowca, samodzielnego i pomocnika.

Cena za podręcznik o książkowości Mrk. 3,—.

Cena za książkę o wekslu Mrk. 1,—.

Do nabycia przez zaliczkę z doliczeniem kosztów przesyłki w księgarniach oraz przez wydawcę.

Adres: *Teofil Preiss, Posen.*

Tegoż autora podręczniki o książkowości i wekslu wyszły także w języku niemieckim.

Wiadomości.

* **Wyrok a wyrok.** Jak wiadomo, wytoczono kilku redaktorom pism polskich procesy o wydrukowanie odezwy komitetu na powiat szubińsko-wyrzyski pod tyt. „Kochany ludu polski“, w której przestrzegano nasz lud przed wychodźtwem na obczyznę. Niektórych redaktorów w tej sprawie skazano, np. redaktora „Kuryera Poznańskiego“, p. Ziółkowskiego, i redaktora „Gońca Wielkopolskiego“, p. Szpotańskiego, innych zaś uwolniono, a mianowicie redaktora „Gazety Polskiej“, p. Kąkolewskiego, i wydawcę „Gazety Ostrowskiej“, p. Rowińskiego. Pan Ziółkowski otrzymał, jak wiadomo, 120 marek kary, a na taką samą karę skazano też w tych dniach p. Szpotańskiego.

* **Zabawa latowa** Towarzystwa dziennikarzy i literatów nie cieszyła się takiem powodzeniem, jak roku zeszłego. Składało się na to wiele okoliczności, a głównie niepomyślne powietrze. Deszcz wprawdzie nie padał, lecz panowało przejmujące zimno i ostry wiatr jesienny, nie dozwalający na dłuższy pobyt w ogrodzie. Mimo to zebrało się około tysiąca osób, tak, że niebawem przy grze fantowej, w kręgielni, strzelnicy, cukierni, poczcie i aukcyi amerykańskiej rozwinął się ruch bardzo ożywiony. O dziesiątej wieczorem rozpoczęły się na sali tańce. Około sto par pląsało w takt mazurów, obertasów i krakowiaków do północy.

O koncercie orkiestry Tow. Muzycznego pod kierownictwem p. Ponieckiego, która wykonała doborowy program, wyrażano się z wszelkiem uznaniem.

* **Pokwitowanie.** Na fundusz emerytalny Towarzystwa dziennikarzy, w miejsce udziału w zabawie niedzielnej złożyli w dalszym ciągu: p. H. Potworowska z Parzenczewa 10 mk., p. Gustowski z Opalenicy 5 mk., p. dyr. Więckowska 3 mk., ks. K. (nie życzy sobie podania nazwiska) 50 mk. Razem złożyło dotychczas obywatelstwo z miasta i prowincyi 213 mk. Wszelkie wpływające jeszcze składki przeznacza się wprost do funduszu emerytalnego. Szczegółowy obrachunek z zabawy ogłoszony będzie po spłaceniu kosztów.

Z pol. zarządu
J. Goździewicz, Półwiejska 28.

* **Portret śp. Anny Danysz,** zasłużonej na niwie społecznej przewodniczącej szkoły żeńskiej, wystawiony jest obecnie w oknie wystawnem składu bławatnego p. *St. Miśkiewicza* przy Starym Rynku nr. 77, naprzeciw odwachu. Okazały portret, wielkich rozmiarów wykonał bardzo udatnie znany tu fotografista p. *J. Maćkiewicz* w firmie *„Iris“*, również przy Starym Rynku nr. 77 i przeznaczył go jako dar dla *Schroniska dla nauczycielek.* Spodziewać się można licznego zwiedzenia wystawionego portretu.

* **Strejk szkolny** w Kiełczewie pod Kościanem trwa wciąż jeszcze. Panu Józefowi Napierale sprzedano w drodze przymusowej licytacyi 2 gęsi za 4 mk., ponieważ nie zapłacił kary nałożonej na niego za strejk szkolny. — W Środzie ustał po wielkich wakacyach strejk szkolny zupełnie. — W Wielkopolsce strejkowało przed wielkiemi wakacyami jeszcze tylko 250 dzieci. W dniu 14 listopada r. z. było ich 46.866.

* **Strejk szkolny a rząd pruski.** Ponieważ opór dzieci polskich w nauce religii niemieckiej już prawie zupełnie ustał, przeto rząd pruski — jak donosi „Vossische Ztg.“ — rozporządził, żeby zwolniono ze szkoły te dzieci, które zatrzymano, mimo, że skończyły lat 14. Tak samo mają przejść do wyższych klas dzieci, którym za karę promocyę wstrzymano.

* **Ku uczczeniu** stuletniej rocznicy Wincentego Pola, towarzystwo Promień urządza uroczysty obchód dnia 29 września na sali ogrodowej Lamberta. Obchód z bardzo doborowym programem uświetni występem swym Marya Tracikiewiczówna.

* **Skutki** *pruskiej ustawy osadniczej.* Ubogi gospodarz Drzymała kupił w Rakoniewicach około 15 mórg roli, na której postawił sobie stodołę i chlewik dla bydła. Obecnie chciał tam sobie dom mieszkalny zbudować, lecz żadną miarą pozwolenia na budowę domu mieszkalnego dostać nie może. Dowiedział się jednak, że gościnny tamtejszy Kindermann posiada stary wóz mieszkalny, jakie cyganie i ludzie z cyrków posiadają. Nabył więc ten wóz, zawiózł na swoje pole, postawił w odległości 40 metrów od stodoły i chlewów i w ten sposób ma przynajmniej gdzie głowę schronić z rodziną. Wprawdzie zjechała się komisya policyjna na miejsce, lecz nic

nic wskórała, bo woz stoi na kołach i można go z miejsca na miejsce przewozić. We wozie tym pomieścił pan Drzymała dwa łóżka, piec żelazny i kilka krzesełek. Mieszka w nim z żoną i trojgiem dzieci. Na zimę zamierza wóz ten obłożyć grubo perzem lub torfem, by tylko w nim nie zmarznąć. Jechałem z jednym uczciwym Niemcem około tego „gospodarstwa‟. Nawet jemu serce się krajało na widok tego rzędu murowanych budynków za rządowe pieniądze, a kawałek dalej tego woza mieszkalnego biedaka — Polaka, któremu nawet za własne pieniądze nie pozwalają domku wystawić.

Jednocześnie podajemy drugi obrazek: Pan Władysław Niemczewski z Minikowa pod Poznaniem stawił do komisarza w Poznaniu wniosek o udzielenie mu konsensu na dom mieszkalny i chlewik. Komisarz jednak odesłał mu rysunek z tem uzasadnieniem, iż on nie może konsensu udzielić i kazał wnioskodawcy udać się do landrata. Po upływie przeszło trzech miesięcy otrzymał p. Niemczewski z rejencyi odpowiedź i to odmowną. A trzeba wiedzieć, że rola, na której p. N. chciał sobie postawić dom, leży pomiędzy budynkami we wsi i jest rozparcelowana już w r. 1902, dotąd już w trzecim ręku. Nadto p. N. służył 3 lata w wojsku i był podoficerem.

* **Kościan.** Przed tutejszym sądem ławniczym stawał gospodarz p. Franciszek Gimzicki z Piechanina, oskarżony o obrazę nauczyciela Jagscha, której dopatrzono się w słowach p. G.: nie zabijaj! — skierowanych do nauczyciela. Sąd skazał oskarżonego na miesiąc więzienia.

***Zjazd kół śpiewackich** *w Nakle.* W ubiegłą niedzielę odbył się w Nakle zjazd kół śpiewackich na okręg bydgosko-wyrzyski przy licznym udziale publiczności. Do popisu stanęły tow. z Poznania, Nakła, Potulic, Trzeciewnicy, Wągrówca, Szubina, Bydgoszczy i Koronowa. Nagrodę okręgową (obraz i dyplom wędrujący) uzyskało tow. śpiewu Halka w Bydgoszczy. W chórach męskich Halka bydgoska zrzekła się pierwszej nagrody na korzyść Poznania. Drugą nagrodę otrzymał Wągrówiec, pochwałę piśmienną Koronowo, dyplom Trzeciewnica. Nadmienić przytem wypada, że Trzeciewnica i Potulice są kółkami wiejskiemi, które wykonały reprodukcye swe nadspodziewanie i ku ogólnemu podziwowi.

W chórach mieszanych zyskały pierwszą nagrodę Potulice, drugą Szubin, pochwałę piśmienną tow. św. Wojciecha w Bydgoszczy i tow. śpiewu w Nakle. Popisy zakończył o godzinie pół do 9 polonez z pochodniami, po którym nastąpiły tańce na sali.

* **Zjazd kół śpiewackich** *w Raszkowie,* który się odbył w ubiegłą niedzielę, udał się świetnie. Prastare miasteczko Raszków, otoczone dziś pierścieniem kolonizacyi, przybrało wygląd świąteczny. Rano odbyła się msza św. na intencyą Zjazdu, po południu o godzinie 2-giej był uroczysty pochód drużyn śpiewackich ze sztandarami po mieście a o godzinie 4-tej rozpoczęły się popisy śpiewaków. Program śpiewów składający się z 22 utworów większych i mniejszych, rozpoczęło miejscowe Koło śpiewu pięknym polonezem Maszyńskiego „Śpiewak wita‟ następnie odśpiewaną została przez zebraną publiczność w parku z tow. ork. pieśń „Pamiętne dawne Lechity‟. Do konkursu o nagrody stanęły koła z Krotoszyna, Ostrzeszowa, Ostrowa, Przygodzic, Sulmierzyc, Odolanowa i Krempy.

Licznie zebrana publiczność z zajęciem wsłuchiwała się w utwory nasze, darząc hucznemi oklaskami drużyny śpiewacze. I nagrodę otrzymały Przygodzice, II Ostrów, III Ostrzeszów. Następnie odśpiewano „Wszystkie nasze dzienne sprawy‟ — poczem nastąpiły tańce na murawie.

Około godziny 9 wrócono do miasta przy pochodniach i znów pochód naokoło rynku, gdzie obywatele miejscowi sprawili drużynie śpiewaczej formalną iluminacyą, gdyż puszczano rakiety, bengalskie ognie itd.

Po odprowadzeniu sztandarów do prezesa, wrócono na salę, gdzie się bawiono ochoczo do późnej nocy.

* **Dzień hakatystyczny** *w Pakosławiu.* W staropolskiej dawnej siedzibie hr. Czarneckich w Pakosławiu pod Rawiczem odbył się w ubiegłą niedzielę zjazd hakatystów z powiatu rawickiego, w którym brało udział około 2000 osób. Mowę uroczystościową wygłosił weterynarz powiatowy Huth z Rawicza. Pomiędzy innemi poruszono też kwestyę przeznaczenia dotychczasowej nazwy Pakosławia na inną, więcej kulturalną i przystępniejszą dla ucha niemieckiego Michałka. Podobno wydziwić się nie mogli niektórzy, z jakiego powodu właściwie dotychczas Pakosławia jeszcze nie przechrzczono.

* **Związek** *teatrów i chórów włościańskich* we Lwowie ul. Kopernika l. 19. II. p., uprasza wszystkich autarów i wydawców utworów dramatycznych, odpowiednich dla teatrów włościańskich czy to już drukowanych, czy też w rękopisie się znajdujących, o łaskawe nadsyłanie tychże pod adresem Związku.

Rękopisy na żądanie będą zwracane.

Za sekretarza: Prezes:
Adam Piątek. Dr. Zygmunt Gargas.

* **Ze Śmigla** żali się w liście do nas pisanym Czytelnik „Pracy‟ na to, że tamtejszy „Sokół‟ założony przed 5-ciu laty „ma skrzydełka związane do lotu,‟ bo go nie popiera ani starsza, ani też młodsza generacya. Takie postępowanie zasługuje na publiczną naganę.

„Śmigiel okoliła już kolonizacya, ale nie zagładzi nas Polaków w Śmiglu — pisze nam dalej nasz Czytelnik — jeżeli szanować będziemy godność narodową, nie będziemy stronili od „Sokołów‟ i pamiętali o haśle „Swój do swego.‟

Przypisek od Redakcyi: Przyznajemy słuszność naszemu Czytelnikowi i wołamy do opieszałych i gnuśnych: Rodacy, poprawcie się, by was nawała pruska nie pożarła!

* **Młoda Polka** udziela pomocy w naukach dziewczątkom i chłopczykom za przystępną cenę. Adres wskaże redakcya „Pracy.‟

* **Opatentowane resory.** Rodak nasz p. *Janusz Marcinkowski, inżynier z Grodziska,* uzyskał patent na resory połączone z sprężynami, które unoszą pudło dwukolnego powozika t. z. Dog-Cart'u.

U dotychczasowych systemów, wyrobu amerykańskiego, dają się odczuwać wstrząśnienia, spowodowane przez bieg konia. Wynalazek obecny usuwa te niedomagania, a bieg powozika staje się równym bez wstrząśnień.

Powoziki te nadają się specyalnie na drogi polne dla agronomów. Jak słyszymy p. J. Marcinkowski udzielił licencyi wyrobu tychże powozików na opatentowanych resorach swego wynalazku znanej fabryce powozów pp. *Dzieciuchowicza i Laubego* w Poznaniu.

Bliższych informacyi udzielą wymienieni panowie, którzy w krótkim czasie wystawią model w oknie swem przy ul. Wrocławskiej.

* **Odznaczenie Polaka w Berlinie.** Na tegorocznej fachowo-dentystycznej wystawie w Hamburgu otrzymał nasz rodak pan *Henryk Feldmann* z Berlina dyplom honorowy za znakomite wykonanie prac artystyczno-dentystycznych.

* **Przemysł swojski.** Co można zdziałać przez wytrwałą pracę, pokazuje nam znakomity fabrykat pasty do czyszczenia obuwia ze znakiem ochronnym „Koniczynka‟, wynalazku pana *Kazimierza Chmielewskiego.*

Przez szereg lat pracował p. K. Ch. nad udoskonaleniem wyrobu i zawdzięcza jedynie swej wytrwałości, że udało mu się po długich i z wielkiemi kosztami połączonych doświadczeniach, wytworzyć wyrób, który zaledwie po kilkumiesięcznem istnieniu zjednywa sobie dzięki swej dobroci, niezliczoną ilość zwolenników.

Nader gustowne opakowanie, osobno w polskim i osobno w niemieckim języku, zupełnie zaś odmienne od już istniejących konkurencyjnych fabrykatów, bo zadaniem p. K. Ch. jest, puszczać w obieg opakowania zaopatrzone opisem i sposobem użycia, zdobyte własną pracą i własnego pomysłu.

Pan K. Chmielewski wyrabia także od kilku lat znakomite inne fabrykaty pod znakiem ochronnym „Kacecha‟, np. mączkę z połyskiem do prasowania, farbki do bielizny, najrozmaitsze proszki do prania, wszelkie pasty i płyny do czyszczenia najrozmaitszych metalów, środki do wywabiania plam, masę do froterowania posadzek, linoleum i mebli pod nazwą „Salonit‟, także jest p. K. Ch. wynalazcą powszechnie znanego środka przeciw pluskwom pod nazwą „Antiwan‟, który to fabrykat, jako i inne są wielkimi wynalazkami na polu chemiczno-technicznem.

Popierajmy więc stale polski przemysł, tem więcej, że przoduje tu przed obcym. Dalsze szczegóły w ukazujących się ogłoszeniach w dziale inseratowym.

Nekrologia.

† Ś. p. *Władysława z Nowackich Karpikowa*, dnia 21-go z. m. w Mogilnie. R. i. p.

† Ś. p. *Marya Pepińska*, dnia 22-go z. m. Ostrowie w 42 roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Julian Rolbiecki*, dnia 24-go z. m. w Lubaszu. R. i. p.

† Ś. p. *Feliks Sosnowski*, były dziedzic Strzydzewa, żołnierz z 31 i 63 roku, dnia 21-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Seweryna Gromadzińska*, dnia 24-go z. m. w Środzie. R. i. p.

† Ś. p. *Władysław Bielawski*, rodem z Pleszewa, właściciel fabryki w Warszawie, przeżywszy lat 42, umarł w Berlinie. Pogrzeb odbył się dnia 28-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

Od Redakcyi.

— *Panu W. K. w Śmiglu.* — Jako korespondencyę nie mogliśmy umieścić, zużytkowaliśmy jako wiadomość.

— *Mlecarzowi.* Zamieścimy w przyszłym numerze w „Dziale ekonomicznym.“

— *Panu L. B. w Wanne.* — Jestto wyraz pochodzący z francuskiego: *blague*. Polacy mówią blaga, a Niemcy Blage; znaczy to tyle, co fanfaronada, pyszałkowatość.

— *Pani W. H. w Gnieźnie.* W tej sprawie informacyi udzieli Szan. Pani redakcya „Gazety Toruńskiej“ w Toruniu przy ulicy Mostowej 4, — Thorn Brückenstrasse 4.

Z teki tetryka.

Jacy ci ludzie śmieszni! Każdy chciałby żyć długo, a nikt nie chce być starym.

* * *

Zmarnowane talenty podobne są do dyamentów, używanych do rżnięcia szyb.

Władysław Korn. Zieliński.

Ostatnia komenda.

Obrazek z życia.

Huk dział, rozlegający się po równinach Lombardyi, zamilkł a niedobitki, pod Magenta i Solferino ostatecznie rozproszonej armii austryackiej, powróciły już na zimowe leże do kraju. W Komarom, twierdzy naddunajskiej, położonej na południowym cyplu wyspy Czaloköz utworzonej przez boczne ramię Dunaju, do którego od Tatr płynąca Waga wody swe przelewa, było również cicho i spokojnie.

Nasz czwarty batalion, powróciwszy z Włoch do swego garnizonu a zarazem miejsca poborowego pułku, pozostawiwszy pułk swój w Styryjskim Wolfsbergu, zajął koszary w środku fortecy, gdzie już rozkwaterowany był pułk Rossbach. Batalion, zdezorganizowany i pozbawiony prawie zupełnie żołnierzy, przepełniony był za to oficerami nadliczbowymi, którzy nie chcieli lub też nie mogli korzystać z chętnie udzielanych dłuższych urlopów lub też ci, którzy nie zrzekli się stopnia i służby wojskowej, biorąc jednorazowe wynagrodzenie.

Po ciężkich trudach i walkach, po ogłuszającym gwarze wojennym, po szalonej moralnej i fizycznej pracy, nastała teraz błoga cisza, rozleniwiające dolce far niente.

Żołnierze wraz z podoficerami i dyżurnymi oficerarami, dzień w dzień posyłani byli na roboty bądź do magazynów, bądź też do sypania wałów na tak zwanym Sandbergu. Pozostali oficerowie, a było ich jako nadliczbowych po pięciu i sześciu prócz trzech etatowych w każdej kompanii, o ile na tego lub owego nie wypadała służba garnizonowa lub też koszarowa, zajęci byli w godzinach rannych bądź to na sali fechtunkowej, bądź też w szkole oficerskiej, słuchając wykładów lub odczytów czysto militarnej treści.

Po obiedzie pod „złotą beczułką“, u Spitzera lub też pod „królem węgierskim“, korpus oficerów, tak pułku Rossbach jak i naszego batalionu, gromadził się na czarną kawę w kawiarni będącej u zbiegu ulic Komitatowej i Sławiańskiej (Komitat Utca i Tot Utca) gdzie czas spędzano na gawędce aż do wieczoru, poczem jedni szli do domu, inni w odwiedziny do znajomych, a inni znowu do restauracyi na wieczerzę i dalszą pogawędkę.

Z rozpoczęciem karnawału 1860 roku, monotonne to życie ożywiło się nieco paru balami komitatowemi i reunionami, wydanemi przez komendanta twierdzy, Feldzeugmeistra Barona von der Lih'a na których, mówiąc nawiasem, nudziliśmy się jak pinczery łapiące muchy, a to z powodu, że na tych zebraniach nie tańczono, lecz tylko zabawiano się w gry towarzyskie, jak: Halberzwölwe, loteryjkę z fantami, sekretarza i t. d.

W pośród kolegów naszego batalionu znajdował się bardzo zacny i przez wszystkich lubiany porucznik Tomasovic, Kroat rodem, który w wielkiej przyjaźni żył z majorem Frankovicem pochodzącym z tejże samej, co i on, miejscowości. Otóż Jovan Tomasovic w czasie karnawału na jednym z bali komitatowych poznał uroczej piękności pannę Mighazy Ilkę, jedyną córkę Mighazy Beli, jak powszechnie głoszono bogatego właściciela majątku ziemskiego O-Falu, położonego w pobliżu Totis i Komarom.

Nic dziwnego, że młody, przystojny i ognisty Jovan, zakochał się w uroczej Ilce i nawzajem nie był jej obojętnym. Pod koniec karnawału Jovan korzystając z dni wolnych od służby, począł bywać w O-Falu, mile widziany nietylko przez pannę, lecz i przez rodziców, a przed samą Wielkanocą dowiedzieliśmy się z ust majora Frankovica, że kolega nasz Tomasovic zaręczył się z panną Mighazy Ilką i że po załatwieniu prawem wymaganych formalności, na jesieni połączy się z nią węzłem małżeńskim.

Wiadomość ta, wśród monotonnie pędzonego życia, dała nam sposobność do wydania uczty na cześć powszechnie lubianego kolegi. W tym celu w tygodniu powielkanocnym w restauracyi pod „złotą beczułką“ zgromadziliśmy się około stołu biesiadnego.

Gwarno i wesoło było w czasie tej biesiady, której przewodniczył nasz generał brygady i który pierwszy w serdecznych i pełnych zapału słowach, wzniósł toast na cześć zaręczonej pary. Po pierwszym toaście posypały się jak z worka inne przemówienia, a że pomiędzy nami nie

brak było takich co pomimo, iż poświęcili się Marsowi, chętnie palili ofary na ołtarzu muzy Erato, przeto jeden z kolegów wygłosił ad hoc przez siebie ułożony toast mową wiązaną, który wywołał burzę oklasków, a Jovana dotąd w milczeniu siedzącego obok generała skłonił, iż otrząsnąwszy się z przygniatającej go zadumy, ex abrupto również mową wiązaną serdecznie podziękował generałowi i kolegom za wyróżnienie, jakiego doznał.

W czasie, gdy podano czarną kawę i likiery, major Frankovic, który zauważył na twarzy swego przyjaciela malujący się jakiś niepokój, zagadnął go w tej mierze, pytając co jest powodem tego smutku.

— Nie wiem i nie pojmuję co mi jest — odparł Jovan — jakiś niewytłomaczony niepokój, już od dziś rana ogarnął mnie, wzrastając z każdą chwilą. Obawiam się, czy dziś jeszcze nie spotka mnie co złego? Nie jestem przesądny, a jednak drżę na samą myśl jakiegoś nieznanego, a grożącego mi niebezpieczeństwa.

— Wszak od wczoraj — rzekł major — w O-Falu nic złego wydarzyć się nie mogło, odjeżdżając, zostawiliśmy wszystkich w dobrem zdrowiu. A zresztą, gdyby co złego tam się wydarzyło, to przecież nie jest tak dalego, aby cię natychmiast nie powiadomiono o tem, co zaszło. Nie myśl więc i nie gryź się bezpotrzebnie, zresztą dla odzyskania równowagi umysłowej i uspokojenia się, za chwil parę wymkniemy się ztąd cichaczem, siądziemy na koń i hajda! popędzim razem do O-Falu, no! bo ciebie samego nie puszczę — a za godzinę najdalej przekonasz się, że płonnemi były wszelkie twe obawy. No cóż, zgoda?

— Z całego serca — odparł Jovan — a nim noc zapadnie i bramy twierdzy zamkną, będziemy z powrotem.

Jeszcze nie dokończył Jovan tych słów, gdy zbliżył się doń jeden z usługujących lokai i oznajmił, że przyszedł służący jego i chce się z nim zaraz widzieć.

Jovan spojrzał ze zdziwieniem na majora, jakby pytając go, coby to znaczyć miało i żywo pospieszył do przedpokoju, gdzie służący oczekiwał go.

Major Frankovic niemniej zaniepokojony podążył za Jovanem, lecz nie zdążył jeszcze przestąpić drzwi wiodących do przedpokoju, gdy ujrzał jak Jovan, roztrącając tamże zgromadzoną służbę, wybiegł szalonym pędem na ulicę.

Major Frankovic bez wahania się pospieszył za Jovanem, pędzącym w kierunku mieszkania swego, mieszczącego się w nowym pawilonie oficerskim, gdzie również znajdowały się stajnie.

W przejściu z restauracyi do nowego pawilonu major dowiedział się od służącego Jovana, że z O-Falu przybył konny posłaniec z zawiadomieniem, iż Mighazy Bela trzy godziny temu nagle życie zakończył.

Wobec tej wiadomości, Frankovic nie chcąc opuszczać przyjaciela, postanowił udać się wraz z nim do O-Falu, aby nietylko czuwać nad Jovanem, który dziwnie był rozstrojony i nad wyraz zgnębiony otrzymaną wiadomością, lecz także, aby przyjść w pomoc słowem pociechy pozostałej wdowie i córce, które wobec tak nagłego wypadku, na razie nie będą mogły się zająć tem wszystkiem, co się dotyczy pogrzebu i innych pośmiertnych czynności.

W chwil parę później Jovan wraz z Frankovicem pędzili, co koń wyskoczy przez most łyżwowy na Dunaju ku O-Falu.

Mighazy Bela padł rażony apopleksyą w chwili, gdy odczytywał tylko co odebrany list od swego prawnego doradcy z Buda-Pesztu. Przytomni temu żona, córka i rządca ekonomiczny Josika Veleny rzucili się na ratunek nieszczęśliwego a pomimo, że wezwany natychmiast wiejski felczer wziął się energicznie do ratowania konającego, to cała pomoc okazała się bezskuteczną i Mighazy Bela, nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności, zamknął oczy na wieki.

Frankovic przybywszy do O-Falu wraz z Jovanem, który mimo forsownej przeszło całogodzinnej jazdy, nie odzyskał jeszcze równowagi, zajął się przy pomocy Veleny'ego przygotowaniami przedpogrzebowemi. Zamknął więc na klucz pokój sypialny i kancelaryę zmarłego, przyczem zamki opatrzył swemi pieczęciami, a klucze oddał w ręce Veleny'ego.

Jovan tymczasem oprzytomniawszy, nieodstępował od pani Mighazy i swej narzeczonej, które, jak mógł i umiał, pocieszał.

We dwa dni później, wśród licznego zjazdu okolicznych obywateli, włościan z O-Falu i znajomych z Komorom odbył się pogrzeb zmarłego Mighazy Beli, którego ciało złożono w podziemnych grobach w Totis.

Po pogrzebie w obecności kilku sąsiadów, notaryusza, przybyłego z Komorna, wdowy i córki zmarłego, major Frankovic zdjął pieczęcie, położone przezeń na drzwiach kancelaryi i sypialnego pokoju, a Veleny kluczami będącymi w jego ręku takowe otworzył.

Po spisaniu stosownego protokułu, przystąpiono do przejrzenia papierów zmarłego celem odszukania testamentu, oraz do spisania inwentarza. Zanim jednak notaryusz zdołał czynność swą rozpocząć, Frankovic spostrzegłszy na ziemi obok biurka zmięty list, z którym w ręku padł apopleksyą rażony Mighazy, podniósł takowy i podał notaryuszowi mówiąc:

— Zmarły przy czytaniu listu uległ atakowi. Otóż pismo to objaśni nas, co było powodem śmierci.

Notaryusz rozwinął podany sobie papier i odczytał go na głos.

Był to list prawnego doradcy zmarłego, w którym doniósł mu, iż upadłość wiedeńskiego bankiera Feliksa Seemana a wskutek tego i upadłość pesteńskiej fabryki maszyn rolniczych nietylko pochłonęła cały kapitał Mighazy, ale nadto inne należności przewyższają jego aktywa, tak, że na ich pokrycie suma, mogąca się uzyskać ze sprzedaży O-Falo, nie wystarczy.

Wiadomość ta, poparta dołączonym szczegółowym rachunkiem wywarła piorunujące wrażenie na obecnych. Pani Mighazy padła zemdlona a córka zamieniła się iście w słup soli. Dzięki natychmiastowej pomocy obecnego lekarza i przyjaciela domu, pani Mighazy została wyrwaną z omdlenia, lecz za to uległa gwałtownemu zapaleniu mózgu. Ilka otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie na niej wywarła wiadomość o utracie całego mienia, zajęła się chorą matką i na pożegnanie zwracając się do Jovana, rzekła:

— Marzenia nasze nie ziszczą się tak rychło, lecz nie traćmy nadziei, bo wszystko leży w Bożej mocy.

W dwa miesiące później po powrocie do zdrowia pani Mighazy i po uporządkowaniu wszystkich interesów majątkowych, w czem wielce był pomocnym Frankovic — wdowa wraz z córką oddając O-Falo w tymczasową administracyę aż do czasu sprzedania tej posiadłości, udała się do Pesztu, celem zamieszkania i założenia tamże, przy pomocy maleńkiego kapitaliku, jakiegoś przedsiębiorstwa, które by im dać mogło byt jakikolwiek.

Z nastaniem wiosny, ożywiło się nieco w Komarom, rozpoczęła się bowiem musztra z nowo-zaciężnymi, ćwiczenia batalionowe, strzelanie do celu i inne tym podobne zajęcia, trwające od wczesnego ranku aż do późnej nocy. Nie

dziw więc, że wobec tego, tylko pora obiadowa i wieczór, gdy wszelkie zajęcia na placu musztry i w koszarach ustały, były wolne i wtedy oficerowie gromadzili się w ogrodzie restauracyjnym przy Tot-utca.

Jovan od czasu wyjazdu do Pesztu narzeczonej wraz z matką stronił od towarzyszy i jedynie tylko od czasu do czasu odwiedzał majora Frankovica, który wszelkiemi siłami starał się rozerwać i natchnąć nadzieją przyjaciela.

— Mówisz mi Karolu, bym nie rozpaczał — żądasz, abym był wesół i karmił się nadzieją, że zabłyśnie dla mnie lepsza dola. Łatwo ci to mówić, lecz gdybyś był w mej skórze, w mojem położeniu i gdybyś taką bezgraniczną miłością kochał, jak ja kocham Ilkę, to jestem pewien, że byłbyś takim, jak ja.

— Cóż robić mój drogi — odparł Frankovic — przeciw wodzie płynąć trudno, lecz płynąć można. Otóż płyń i ty, wierzaj mi, iż ja nie opuściłbym rąk i nie oddawałbym się rozpaczy, lecz przeciwnie wezwałbym całej energii na pomoc i starałbym się dopiąć celu zamierzonego.

— Łatwo ci to mówić — rzekł Jovan — mając możność złożenia prawem przepisanej kaucyi, gdy tymczasem ja i moja narzeczona czegoś podobnego uczynić nie możemy. Wiesz przecie, że ja nic a nic nie posiadam, że moi rodzice również nie mają majątku, a narzeczona moja wraz z matką ciężko pracować muszą na kawałek chleba. Czyż wobec tego mogę marzyć o spełnieniu się najgorętszych pragnień moich?

— Dla chcącego nic niema trudnego.

— Czyż sądzisz, że ja nie chcę? O wierzaj mi, oddałbym połowę życia, aby dopiąć celu.

— To nie dosyć chcieć, lecz trzeba działać — odparł major, dodając po chwili — dla ciebie niema innej rady jak tylko pożegnać się z karyerą wojskową i dobijać się do stanowiska na innem polu.

— Myślałem ja już o tem, lecz kto i gdzie da mi jakie zajęcie? mnie, który tylko na żołnierza się kształciłem? Zresztą do kogóż się udam, aby mi dopomógł. Wiesz dobrze, że stosunków z ludźmi wpływowymi nie mam, a zresztą nie chciałbym dobijać się o jaką posadę przy pomocy protekcyi.

— No, a jednak — ozwał się po chwili major — gdyby ci tak kto dał jaką posadę, np. posadę leśniczego w lasach koronnych lub też inną podobną, czy przyjąłbyś?

— Czybym przyjął? ależ bez wahania, choć mówiąc prawdę, bolesnem by mi było zrzucić z siebie ten mundur, z którym się zrosłem.

— Et głupstwo — zawołał major, dodając po chwili — jutro jadę do Wiednia na wezwanie pułkownika, otóż spróbuję, może da się tam co zrobić dla ciebie, a wiesz przecie, że mam jakie takie stosunki. Bądź więc dobrej myśli i zaufaj mi.

Nazajutrz po tej rozmowie, major Frankovic zdawszy komendę batalionu na kapitana Opitza, podążył do Wiednia.

W tydzień później, Frankovic powróciwszy z podróży, pospieszył do Jovana, który z niewysłowioną radością powitał przyjaciela.

— No — zawołał major siadając na sofie obok Jovana — mam nadzieję, że podróż moja nie będzie bezowocną. Byłem u ministra wojna wraz z naszym pułkownikiem i przedstawiłem mu twój interes. Otóż minister kazał mi dać sobie stosowną notatkę i dzięki poparciu ze strony pułkownika, dał słowo, że wyrobi dla ciebie posadę w leśnictwie i to w twej ojczystej okolicy. Bolesne mi będzie rozstać się z tobą, spodziewam się jednak, że nie zapomnisz o mnie i że kiedyś znowu zejdziemy się razem, a nawet wiesz co? jak już obejmiesz posadę i osiądziesz na miejscu wraz z żoną, wtedy wezmę urlop i przybędę do was, aby nacieszyć się szczęściem waszem.

— Czemże ci to odpłacę? — zapytał Jovan.

— Głupstwo! czem? sercem i szczerą przyjaźnią — zawołał major, podając rękę Jovanowi, który ją gorąco uścisnął.

Parę miesięcy już upłynęło od tej rozmowy, a było to na początku sierpnia, gdy przed ćwiczeniami zbiorowemi, plutony i kompanie wśród ćwiczeń taktycznych, bądź to rozsypane w łańcuch, bądź też zbite w kolumny strzelać miały ostrymi ładunkami do tarcz stałych ruchomych a przedstawiających nieprzyjaciela.

Ćwiczenia te najpierw plutonami, potem kompaniami a nareszcie batalionami, przyczem oficerowie komenderowali swymi oddziałami trwały już od siedmiu do dziesięciu dni. Za dwa dni miano ukończyć owe ćwiczenia, aby po dwudniowym wypoczynku rozpocząć ćwiczenia zbiorowe czyli manewry wszystkich wojsk stojących garnizonem w Komarom. Na manewra te batalion nasz miał wyruszyć do Acs, skąd po tygodniowych manewrach, powrócić mieliśmy na przegląd ostateczny do garnizonu.

Na dwa dni przed ukończeniem ćwiczeń z ostrymi ładunkami, major Frankovic podczas obiadu, z rozpromienionem obliczem zbliżył się do Jovana Tomasovica i uścisnąwszy go serdecznie, podał mu we czworo złożony papier.

— No, kochany przyjacielu — zawołał — pragnieniom naszym stało się zadość, właśnie otrzymałem od ministra wojny zawiadomienie, że z chwilą, w której zrzeygnujesz z zajmowanego stanowiska w wojsku, będziesz mianowany nadleśnym lasów rządowych pod Orsową z pensyą 800 guldenów rocznie, domem mieszkalnym i zabudowaniami gospodarskiemi oraz 30 mórg ziemi ornej prócz sianokosów leśnych. Mniemam, że mając takie uposażenie, będziesz mógł zadosyć uczynić gorącemu twemu pragnieniu i, że jeszcze tego roku w październiku będę mógł twą Ilkę poprowadzić do ołtarza, bo ten warunek stawiam *sine qua non.*

— Drogi przyjacielu — odparł Jovan, ściskając gorąco dłoń majora — a czyż mogłoby być inaczej? Niech tem przynajmniej odpłacę ci, za to wszystko, coś uczynił dla mnie, uszczęśliwiając dwoje ludzi, których wdzięczność z życiem tylko wygaśnie.

— No, dobrze, dobrze, o tem pomówimy później, a teraz — mówił major — po mustrze i wieczornym apelu czekać cię będę u siebie, bo jutro trzeba wysłać do pułku twą rezygnacyę, a równocześnie zawiadomić ministra o tem, że posadę przyjmujesz i że rezygnacyę wojskową podpisałeś. Nim zaś nadejdzie świadectwo rezygnacyjne, jeżeli chcesz dam ci urlop, abyś o pocieszającej nowinie osobiście mógł narzeczonej powiedzieć.

— Pomimo, że projekt twój mi się bardzo podoba — odparł Jovany — to jednak z urlopu, który mi chcesz dać korzystać nie będę na razie. Za dni dziesięć kończą się ćwiczenia, manewry i przeglądy, do tego też czasu pozostanę na zajmowanem stanowisku i do ostatniej chwili pełnić będę moje obowiązki. Wiesz, jak kocham wojskowość, pozwól więc, abym przed opuszczeniem szeregów nacieszył się nią.

— No rób, jak chcesz — rzekł major — urlop zaś otrzymasz każdej chwili.

Wieczorem tego dnia, Jovan stosownie do tego, co mówił major w obecności dwóch kolegów, podpisał rezy-

gnacyę z stopnia wojskowego, którą major Frankovic dnia następnego ze stosownym raportem wysłał do komendanta pułku, zawiadamiając równocześnie ministra, że Tomasovic złożył rezygnacyę i że pozostaje na służbie do czasu nadejścia świadectwa rezygnacyjnego i nominacyi na następnego.

Tegoż dnia, jako ostatniego przeznaczonego na ćwiczenia batalionowe z ogniem ostrymi ładunkami, przy wymarszu z koszar na plac ćwiczeń po za linię palatynalną, tak koledzy, jak i major zauważyli, że Tomasovic jakoś dziwnie był podniecony, chwilami zaś zapadał w zadumę i jakby bezprzytomny w dal spoglądał.

— Jovan, co ci jest? — zapytał major, zbliżywszy się do Tomasovica w czasie przejścia z koszar na plac ćwiczeń.

— Istotnie — odparł zagadnięty — dzieje się ze mną coś dziwnego. Jakiś niepokój, wzrastający z każdą chwilą, ogarnia mnie od samego rana. Nie daj Boże, lecz jakieś nieszczęście wisi nademną.

— No! głupstwo — zawołał major — jesteś podrażniony tem, żeś podpisał rezygnacyę a nie myślisz, że podpisując ją, uczyniłeś krok stanowczy i umożebniający ci poślubienie Ilki.

— Czy to jednak nastąpi?

Zwaryowałeś, czy co? Czyż sądzisz, że Ilka danego ci słowa nie dotrzyma? a może ty chcesz zerwać z nią? No w takim razie, jak jestem twoim przyjacielem, miałbyś ze mną do czynienia.

— Ja! zrywać? nigdy! pomimo tego powiadam ci, że na trzy moje listy dotąd nie mam odpowiedzi.

— No, może nie doszły, albo...

— Nie, nie, wszak nigdy dotąd listy nasze nie ginęły, dlaczegóżby więc teraz zaginąć miały, a zresztą jeżeli listy moje nie dochodzą, to dlaczegóżby od niej ginąć miały. W tem coś jest... i jeżeli do jutra wiadomości od niej nie otrzymam, to korzystając z dwudniowego wypoczynku po ćwiczeniach za twojem pozwoleniem pojadę do Pestu.

— Dobrze — odparł major — lecz teraz daj mi słowo, że się uspokoisz i nie będziesz poddawał się jakimś tam babskim przeczuciom.

W chwili, gdy major domawiał tych słów, obecny dnia tego na ćwiczeniach batalionowych generał brygady Coronini, dał znak do rozpoczęcia ćwiczeń. Niezwłocznie też major wydał stosowne rozkazy i strzelanina rozpoczęła się przy bezustannych obrotach batalionu.

Właśnie jedna z kompanii rozsypana w łańcuch tyralierski, cofała się na skrzydła naprzód posuwającej się frontem rozwiniętej kompanii, w której lewem skrzydłem plutonowem dowodził Tomasovic, gdy zbliżył się doń służący jego przybyły z twierdzy i podał mu depeszę nadesłaną z urzędu telegraficznego.

Tomasovic nie zatrzymując się, odebrał podaną depeszą i szybkim gorączkowym ruchem rozerwawszy kopertę, rzucił okiem na wązki pasek papieru, na którym był wypisany telegram. Po odczytaniu treści depeszy, którą kurczowo zmiął w dłoni, twarz jego przybrała barwę ziemi, oczy zapadły głęboko świecąc złowieszczo, a na czole zarysowała się głęboka bruzda. Pierś Jovana falowała gwałtownie a przyspieszony oddech świszcząc, wydobywał się z gardła.

Jovan, nie zatrzymując się ani na chwilę, szedł w pierwszym szeregu, ponuro spoglądając przed siebie.

W powietrzu rozległ się głos trąbki sygnałowej.

Oficerowie plutonowi z miejsc swoich podchwytując komendę majora i kapitanów, krzyknęli: Baczność! Stać! Do strzału! pojedynką ognia *).

Jovan, zarówno jak i inni oficerowie powtórzył rozkaz ochrypłym głosem i równocześnie rzucił się jak szalony przed front kompanii strzelającej ostrymi nabojami do tarcz celowych, wznoszących się w odległości stu kroków. Zanim zdołano poprzez kłęby dymu spostrzedz, co się dzieje, i wstrzymać rozpoczęty ogień, Tomasovic, przeszyty naraz kilku kulami, padł nieżywy w odległości piętnastu kroków przed frontem kompanii.

Pojąć łatwo można jakie wrażenie na wszystkich wywołał ten niezwykły wypadek. Generał Coronini natychmiast kazał zawiesić musztrę i oficerowie wraz z generałem i Frankoviccem otoczyli ciało nieszczęśliwego, przy którym klęczał lekarz batalionowy sondując rany od kul. Jedna z nich przeszyła serce, nie męczył się więc biedak i skończył natychmiast; ratunek wszelki okazał się zbytecznym.

Frankovic zsiadłszy z konia, blady i milczący zbliżył się do zmarłego, przyklęknął obok i pochyliwszy się nad ciałem przyjaciela, złożył gorący pocałunek na czole jego, przyczem dwie grube łzy stoczyły mu się po policzkach i jak brylanty zawisły na sumiastych wąsach jego.

Podniósłszy się z ziemi, Frankovic spostrzegł, że zmarły w lewej kurczowo zaciśnionej dłoni trzyma jakiś papier, pochylił się więc i z niemałym trudem wydobył depeszę, przed chwilą doręczoną Jovanowi. Rozwinąwszy pomięty papier, major rzucił nań okiem i na głos przeczytał treść depeszy: „Dziś rano o czwartej Ilka nagle zakończyła życie rażona paraliżem serca. Matka.“ Przeczytawszy te słowa Frankovic rzekł:

— A więc to nie wypadek, samobójcą być nie chciał, jednak... biedny i przeczuwał, iż dotknie go jakieś nieszczęście i tak się też stało.

Generał Coronini narówni z wszystkimi niezmiernie wzruszony zakomenderował: *„Do modlitwy“* i cały batalion przykląkł, obnażając głowy. Po chwili głuchego milczenia, zalegającego całe pole musztry, zabrzmiała nowa komenda: *prezentuj broń*, bębny zahuczały głucho marszem generalnym i odzywały się tak długo, dopóki nie nastąpiła nowa komenda: „na ramię broń“ i nie ozwała się trąbka sygnałowa zwiastujące: „odbój“ t. j. zakończenie ćwiczeń i powrót do koszar.

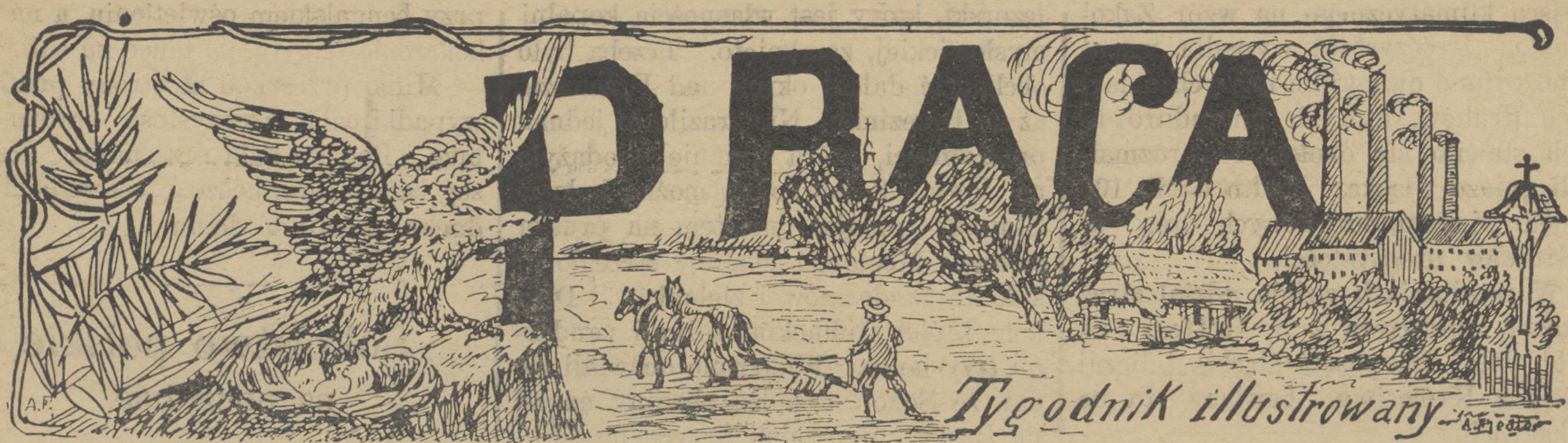
Ciało Jovana Tomasovica złożono tymczasem na wóz ambulansowy i gdy tenże ruszył przodem ku twierdzy, batalion nasz przy głuchym odgłosie bębnów, uderzających marsz pogrzebowy, plutonami z bronią na ramieniu podążył za ciałem, które tymczasem złożono w szpitalu wojskowym.

W dwa dni później, śmiertelne szczątki Jovana w asystencyi dwóch plutonów z bronią i dwóch bez broni, należących do kompanii, w której służył, wszystkich prawie żołnierzy batalionu wolnych od służby i całego korpusu oficerów wojsk, konsystujących w Komarom i komendantem twierdzy i generalicyą na czele, odprowadzono na cmentarz miejscowy, gdzie przy salwach z ręcznej broni złożono je na wieczny spoczynek.

Nad mogiłą nieszczęsnego, major Frankovicz po skończeniu ceremonii religijnej, przemówił jędrnemi słowy, a żegnając przyjaciela dodał: „z komendą wybiegłą z ust twoich, komendą, która była ostatnią w życiu, przestałeś cierpieć! spoczywaj więc w pokoju, połączony na wieki z tą, która za życia była twą gwiazdą przewodnią.“

---

*) Pluton czy kompania po takiej komendzie strzela nie razem na sposób salwy, lecz każdy żołnierz oddzielnie w dowolnej liczbie razy, dopóki trąbka nie da sygnału do zaprzestania ognia.



Sokolstwo polskie

na Śląsku austryackim.

Któż niezna szarej czamary sokolej, — lub czapki z piórem sokolem, który Polak nie zna „Sokoła,“ komu nieznane jest to towarzystwo, pełne idei narodowych, a zasłużone na niwie pracy ojczystej?



Jan Galicz, prezes gniazda cieszyńskiego.

Od źródeł Wisły, aż do jej ujścia znają Sokołów.

Zna Sokołów Polska, bo to jej najwierniejsi synowie.

Za przykładem Galicyi poszła jej dzielnica siostrzana Śląsk, boć i tu budzi się uświadomienie, a z niem i Sokół.

To też już dziś mamy na ziemiach Śląska 12 gniazd sokolich, z tego 2 w tym roku.

Najstarsze gniazdo na Śląsku istnieje w Cieszynie, założone w 1891 roku, a liczy blizko stu członków. W roku ubiegłym obchodziło ono 15-letni jubileusz istnienia podniosłą uroczystością, podczas której druh prezes gniazda, prof. polskiego gimnazyum Galicz, wygłosił piękny odczyt o ważności idei sokolej na Śląsku. Majątek gniazda wynosi około 2 tys. koron.

Po Cieszynie i za jego przykładem, poszły i inne miasta i miejscowości na Śląsku i oto powstaje w niespełna 10 lat później Sokół w Michałkowicach, miejscowości robotniczej i we Frysztacie (1903), w Karwinie (1904), również miejscowości przemysłowo-robotniczej, w Lutynii Niemieckiej i Dziedzicach (w 1905), w Bielsku i Wędrynii (1906), w Dąbrowie i Orłowie miejscowościach górniczych, — oraz nowo powstałe w Boguminie i Jabłonkowie.

Członków liczą wszystkie gniazda do 700, z tego ćwiczących z górą 100.

Wszystkie gniazda objawiają wielką żywotność, czy to przez ciągłe i stałe ćwiczenia, czy też przez urządzenie uroczystości narodowych, wieczorków, wreszcie festynów, podczas których nigdy nie braknie ćwiczeń. Tak Sokól na Śląsku krzepi ducha i ciało.

Ważnem dla Sokolstwa na Śląsku jest budzenie uświadomienia jak też i obejmowanie w swe grono robotników, — i dziś wprawdzie każde gniazdo składa się przeważnie z robotników, jednakże są to za szczupłe zastępy uświadomionej rzeszy robotniczej. Trudne położenie utrudnia jeszcze w wysokim stopniu zachowanie się prasy socyalno-demokratycznej wobec Sokolstwa, w pojęciu której Sokół jest organizacyą chuligańską. Mimo wszystko Sokół na Śląsku rośnie w siły i znaczenie.

Szczególnie rok bieżący był dla Sokolstwa nader ważny, gdy w dniu 2 czerwca blisko tysiączny zastęp Sokołów stanął do wspaniałego pochodu, któremu mnogie i nieprzeliczone tłumy od Rynku po pod wieżę piastowską aż hen na boisko wśród gromkich okrzyków „czołem“ towarzyszyły.

I wtedy ten Śląsk, ten Cieszyn stary, piastowski, był tem, czem jest w rzeczywistości — był polskiem miastem, a ten drugi niemiecki, tak zmalał, tak skarlał, że i śladu nie było



Powitanie Sokołów śląskich w Wiśle przed hotelem „Piast“, dnia 4-go sierpnia r. b.

zeń, — zginął wśród tych tłumów ludu polskiego.

Ale Sokoli śląscy nie poprzestali na tem. Wiedząc czem idea sokoła jest, — urządził Sokół cieszyński w dniu 4 sierpnia wycieczkę do Wisły,

miejsca klimatycznego na wzór Zakopanego. Uroczystość wypadła wspaniale, witano owacyjnie naszych dziarskich druhów, których umundurowanych stawiło się około 70 z rozmaitych gniazd Śląska. Nadto około 100 stanęło nieumundurowanych oraz uczestników uroczystości.

W powitaniach wzięła udział straż pożarna miejscowa z p. Hoffem na czele, dalej dziewczęta śląskie i liczni goście z Królestwa, bawiący tu na wakacyach.

Po szczerych a rzewnych powitaniach nastąpił wspólny obiad, podczas którego wzniesiono liczne toasty na cześć idei sokolej.

Po południu nastąpiły ćwiczenia, w których brało udział około 100 druhów. Ćwiczenia wolne w zastępach, na drążku i poręczach, wreszcie lancami wypadły znakomicie, to też nic dziwnego, że zgromadzona licznie publiczność z entuzyazmem i wśród niemilknących okrzyków żegnała dzielnych druhów, którym zawdzięczała kilka pięknych chwil wspólnie spędzonych. *B—z.*

Sokolstwo polskie
na Śląsku pruskim.

W niedzielę dnia 18-go sierpnia, odbył się na Jęzorze w Galicyi zlot Sokołów okręgu śląskiego. Już od godziny 5-tej rano przybywali ćwiczący druhowie do Brzezinki skąd udali się przez most na Jęzor, gdzie na boisku odbyły się zaraz zawody i próby ćwiczeń. Najwięcej ćwiczących stawiło gniazdo bytomskie, bo 28; prócz tego zastąpione były gniazda z Katowic, Król. Huty, Janowa, Zabrza, Kosztów, Gliwic, Opola i Wrocławia. Prusacy nie szczędzili znowu trudności i przeszkód Sokołom i publiczności. Mostek jęzorski, który jest własnością kopalni mysłowickiej, zamknięto. Trzeba było obchodzić daleki okręg nad Przemszą, aż do Brzezinki. Nie zraziło to jednak publiczności, która tłumnie podążyła na Jęzor. Z powrotem można było w Słupnej przejść mostem na pruską stronę. Mostów i granicy strzegło około 15 żandarmów i zielonków. Druhom królewskohuckim zabrali żandarmi trzy lance. Widocznie obawiali się oni, że Sokoli urządzą zbrojny napad na Prusy, no, a mieli przyczynę do obawy, bo niebezpieczeństwo było wielkie: trzy lance przeznaczone do ćwiczeń przeciw kilkudziesięciu korpusom armii! Ten strach Prusaków ubawił tylko Sokołów, którzy następnie bawili się tem weselej, przeplatając zabawę wesołemi rozmowami o trofeach, jakie żandarmi zdobyli na Sokołach.

Po południu odbył się koncert orkiestry J. O. księżny Ogińskiej, a o godz. pół do 5-tej przystąpili Sokoli do ćwiczeń. Wykonywano ćwiczenia wolne, na przyrządach, laskami, na sprzętach i lancami. Do ćwiczeń stanęło około 100 druhów pod kierownictwem naczelnika, druha Adama Postracha.

Publiczności zgromadziło się około 2000 osób. Nie brakło też naturalnie szpiegów, którym nie bardzo dobrze poszło.

Ćwiczenia, jak na nasze stosunki, gdzie to Sokoli muszą wciąż walczyć z niesłychanemi trudnościami, wypadły stosunkowo dobrze. To też publiczność darzyła często oklaskami dziarskich Sokołów.

W przerwach śpiewał chór katowickiej Harmonii pod kierownictwem p. Teodora Lewandowskiego. Występy przyjęto z zapałem. Odznaczył się także chór piekarski.

Przedstawiono jeszcze piramidy przy bengalskiem oświetleniu, a na zakończenie odbyły się tańce na sali.

Mimo przeszkód ze strony pruskiej wypadła cała uroczystość bardzo dobrze. Pogoda była przecudna. Wszyscy bawili się ochoczo i pokrzepieni na duchu wrócili do domu.



Mostek jęzorski na Przemszy, który jest własnością kopalni mysłowickiej, zamknięto.

Sokolstwo polskie
na obczyźnie.

Równocześnie w niedzielę dnia 28-go lipca odbyły się trzy zloty okręgów VII., IX. i X., składających się z gniazd założonych na odwiecznie germańskiej ziemi w Westfalii i Nadrenii.

I podpada jedno, że o ile w ostatnich latach, szczególnie w roku 1904 w Dortmundzie — potem zloty odbywały się wspólnie w Winterswyku w Holandyi — policya nieprzezwyciężone robiła trudności, t. j. wrogo na odbycie zlotów nie pozwalała, to tym razem z pewnemi zastrzeżeniami zloty odbyły się *publicznie* i za *wyraźnem zezwoleniem* policyi. Jeden tylko okręg, i to okręg VII. musiał jeszcze udać się do Holandyi. Dziwna rzecz, że wyjazdowi temu robiono trudności. N. p. dyrekcya kolei w Essen zgodziła się przewieść sokołów wspólnym pociągiem do Winterswyku. Pismo odnośne datowane jest z 2-go lipca. W ostatniej chwili pozwolenie cofnięto. Dalej policya starała się u władz holenderskich o to, ażeby na zlot dopuszczono urzędnika pruskiego rozumiejącego po polsku. Władze holenderskie na to się nie zgodziły. Z czyjej strony te trudności pochodziły? Odpowiedź na to pytanie nie trudna, trudniejsza na pytanie: *dla czego?* — szczególnie gdy się zważy pozwolenia udzielone okręgom IX. i X.

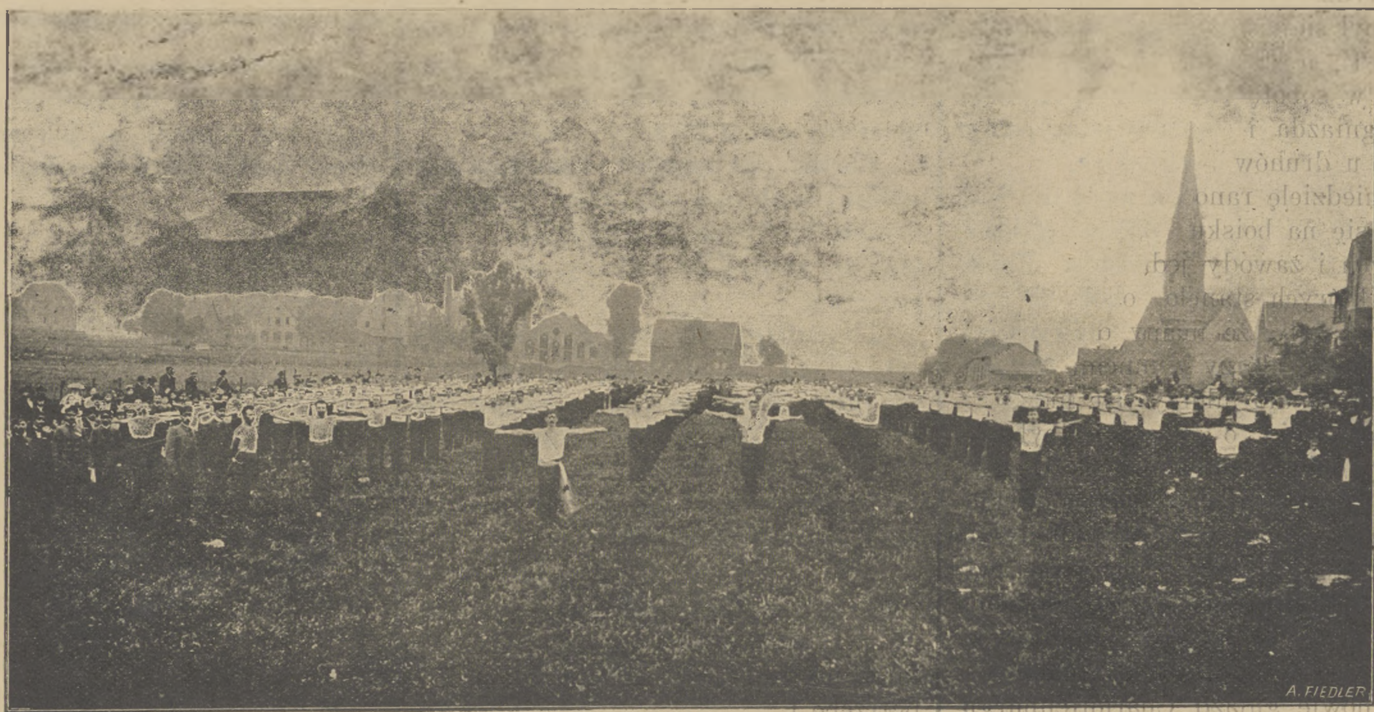
Snać *zagraniczne* (!) zloty nasze władzom policyjnym się nie podobają.

Zloty same udały się bardzo dobrze. Do Winterswyku udało się tym razem z jednego tylko okręgu około 700 druhów. Muzyka dwukrotnie przeprowadzała ich przez ulice miasta. Obywatelstwo witało sokołów serdecznie, znając ich z poprzednich zlotów.

Po nabożeństwie, które się odprawiło o godz. 10 *ze śpiewem polskim*, odbyły się próbne ćwiczenia żerdziami — o godz. 1-szej nastąpiło otwarcie zlotu. Prezes okręgowy druh Chudziński oddaje kierownictwo zlotu w ręce delegata Związku druha Langego z Berlina. Serdeczne toasty w czasie obiadu na cześć sokolstwa, na cześć

idei narodowej i sokolskiej wznoszą druhowie Lange, Michał Kwiatkowski, Żniński i Paliński.

Do ćwiczeń żerdziami stanęło około 300 druhów. Widok był wspania-



Zlot Sokołów okręgu IX w Marten. Ćwiczenia wolne.

ły, budzący podziw wśród swoich oraz przyglądających się sokołom Holenderczyków. Prawie cały Winterswyk oglądał ćwiczenia.



Wydział i członkowie Tow. gimn. „Sokół“ w Marten.
Michał Kubacki sekretarz, Jan Matuszak prezes, Jan Stachowiak skarbnik.

Podług taktu muzyki poruszały się setki nóg, podnosiły, opadały i krzyżowały setki ramion uzbrojonych w żerdzie. Wszystko to szło sprawnie, równo, pięknie. Zdawało się, że ciałami ćwiczących druhów kieruję *jedna* wola, *jeden* duch: karność sokolska.

Postęp w ćwiczeniach widoczny.

W zawodach o nagrody okręgowe zdobył palmę pierwszeństwa sokół z Oberhausen, drugą nagrodę z Neuhmühl, trzecią z Bruckhausen. Dwa ostatnie gniazda są jeszcze dość młode a jednak dzięki pilności i gorliwości ćwiczących z powodzeniem stanęły do walki konkurencyjnej. Przykład godny naśladowania wśród innych gniazd.

Ćwiczących w Winterswyku było ogółem 341 druhów.

* * *

Do *Marten*, na zlot okręgu IX. zjechało się 14 gniazd. Na próbie stanęło do ćwiczeń 196 druhów.

O godz. 11-tej odbyło się nabożeństwo polskie z kazaniem polskiem. Po powrocie na salę zasiadło do wspólnego obiadu 250 sokołów, których w słowach serdecznych powitał druh Kaczmarczak, a do ćwiczeń w gorących słowach zachęcił druh Pankowski. Jako delegat „Związku“ przemawiał druh Jarosz z Berlina.

Udział w wspólnych ćwiczeniach był liczniejszy aniżeli na próbie. Stanęło do nich 216 druhów. I tutaj postęp w gimnastyce widoczny.

Nagrody okręgowe zdobyły: Castrop — pierwszą; Habinghorst — drugą; Wetter — trzecią; Kottenburg — czwartą; Marten — piątą.

Ćwiczenia zakończyły szczególnie udatne piramidy poszczególnych gniazd.

* * *

W *Gelsenkirchen-Schalke* z okręgu X zjechało się dwadzieścia gniazd. Tu już wczesnym rankiem rozpoczęły się ćwiczenia zawodowe. Wynik został ogłoszony podczas popołudniowej zabawy i wykazał, że pierwszą nagrodę zdobyło Herne, drugą Steele, a trzecią Gelsenkirchen.

I tutaj po generalnej próbie sokoli udali się do kościoła na nabożeństwo, by spełnić swój obowiązek religijny.

W czasie obiadu witał zebranych druh Michczyński.

Od godz. 2-giej rozpoczęto ćwiczenia, najpierw na przyrządach, a o godzinie 4-tej przy odgłosie marsza sokolskiego wkroczyło na boisko 236 dziarskiej wiary sokolskiej, by popisać się przed licznie zebraną publicznością ćwiczeniami lanc, maczug i lasek.

Ćwiczenia te wywołały burze oklasków. I ten zlot budził zapał do sokolstwa i podniósł jego znaczenie na obczyźnie.

* * *

W tydzień później (dnia 4-go b. m.) odbył się wspaniały *Zlot Sokołów okręgu V. w Treptow pod Berlinem.* Już w sobotę zjechały pozamiejscowe gniazda i znalazły staropolską gościnę u druhów berlińskich.

W niedzielę rano o wpół do 6-tej odbyły się na boisku próby ćwiczeń zlotowych i zawody jednostek. Zawody, do których stanęło około 60 druhów, wykazały, że mamy dobrych gimnastyków, którzy z innemi narodowościami śmiało mierzyć się mogą.

W południe o 1-szej odbył się wspólny obiad i otwarcie zlotu przemową prezesa druha Andrzejewskiego. Po południu o 3-ciej odbyły się wyścigi kołowników, następnie ćwiczenia gimnastyczne gniazd Sokolich i żeńskich towarzystw gimnastycznych, które zyskały wielki aplauz.

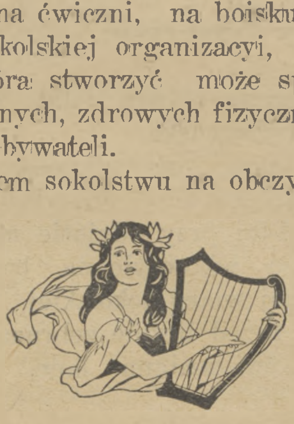
Druhowie gniazd Charlottenburgu, Rixdorfu, Hennigsdorfu, Oberschoeneweide i Weissensee wykonali następnie piękne ćwiczenia lancami. Ruchy ćwiczeń tych składają się z 3 zasadniczych elementów: zamachu, koła i pchnięć, które złączone w gładkie kilkutaktowe kombinacye, sprawiają niezmiernie bohaterskie wrażenie. Począwszy od postawy zasadniczej — niezmiernie oryginalnej — a skończywszy na kłuciach we wszystkie strony świata, wszystko jest piękne i oryginalne. Do oryginalnego układu ruchów zastósowana naturalnie muzyka, która razem z ćwiczeniami wywiera silne wrażenie. Nie dziw więc, że lancierów spotkała owacya ze strony widzów.

Zabawa na boisku i na sali zakończyła Zlot.

* * *

Tak więc odbyło się święto sokole na obczyźnie. Wszędzie postęp, wszędzie rozwój, wszędzie kroczenie naprzód. Upust energii, którego szukała dawniej młodzież często w niegodnych Polaka rozrywkach, dziś odbywa się na ćwiczni, na boisku, w karbach sokolskiej organizacyi, na drodze, która stworzyć może społeczeństwu silnych, zdrowych fizycznie i moralnie obywateli.

Czołem sokolstwu na obczyźnie!



Święta zgoda.

Przykazanie o miłości bliźniego jest obok przykazania o miłości Boga „najpierwszem i największem,“ wedle słów Chrystusa, a święty Jan w listach swoich mówi, że jest ono duszą nauki Chrystusowej, godłem jego wiary, odznaczającem Jego uczniów i najpierwszą z cnót chrześciańskich.

Córką zaś miłości bliźniego jest zgoda. Jest ona najwyższą cnotą rodzinną, społeczną i obywatelską. Bez niej nie ostoją się rodziny, ani społeczeństwa.

„Wszelkie królestwo przeciw sobie rozdzielone nie ostoi się i upadnie,“ tak mówi Pismo święte, a święty Paweł w liście do Galatów pisze:

„Lecz jeżeli jeden drugiego kąsacie i pożeracie, patrzcież, abyście się sami społem nie pojedli.“

Nie tylko w Piśmie św., tym zbiorze wszelkiej mądrości, znajdujemy pochwały dla zgody — wszyscy pisarze mędrcy i poeci wskazują na jej potrzebę i pożyteczność, głoszą jej zacność i chwałę.

„I bez zgody wszelka sprawa marna,“ mówi znakomity pisarz pieśni naszych, Wincenty Pol; a inny pisarz starodawny, Szymonowicz, tak powiedział:

„Lepsza zgoda, niż zwada; zgoda wszystko mnoży,
Niezgoda wszystko kazi i dom uboży.“

To też jest staropolskie — mądre przysłowie:

„Lepsza słomiana zgoda, niźli tłusty proces.“

„Zgodą małe rzeczy mnożą się, a niezgodą wielkie niszczeją“ — powiadał ongi słynny prawoznawca, Groicki.

„Przez niezgodę, tracą ludzie swobodę“ — wydrukował w roku 1619 Rysiński. „Posiał djabeł nasienie, z którego urośli niezgodnicy i zazdrośnicy“ — prawił niegdyś ksiądz Białorzeski.

Ksiądz Karnkowski, arcybiskup gnieźnieński za czasów króla Stefana Batorego i jego następcy Zygmunta trzeciego żyjący, w katechizmie swoim powiada: „Miłość chrześciańska takowa jest, iż człowiek nietylko sam się o siebie starać powinien, ale i o bliźnim mieć pieczę.“

Stryjkowski, który przed trzystu laty księgi dziejów polskich pisał, powiada, iż bracia stryjeczni król Władysław Jagiełło (mąż królowej Jadwigi) i wielki książę litewski Witold, tak się z sobą miłowali, jak przedtem Olgierd ojciec Jagiełły z bratem swoim rodzonym Kiejstutem, ojcem Witolda, że jedno tylko chcenie i niechcenie, jednego przyjaciela i nieprzyjaciela między nimi można było obaczyć.

Święta jest zgoda w rodzinie i w domu, a Falibogowski za króla Zygmunta trzeciego pisze: „Komuż nie miły spokojny z żonką i z dziatkami miłemi obiad i wieczerza wesoła.“

I niema zapewne pośród ludzi nikogo, ktoby nie uznawał jej potrzeby, ktoby nie wierzył, że, jak mawiali ojcowie nasi „gdzie zgoda, tam Pan Bóg.“

A jednak jakże trudno jest o zgodę! Czyż jest gdzie na ziemi zakątek taki, gdzieby panowała zawsze święta zgoda? zdaje się, że nie!

„Posiał djabeł nasienie, z którego urośli niezgodnicy“ — tak mówimy najczęściej, że nie umiemy utrzymać zgody. Niestety tymi „niezgodnikami“ mianujemy zawsze innych, a nigdy siebie i to jest pewnie najczęstszą przyczyną niezgody. Nie umiemy poświęcić nic ze siebie, czy to z mienia, czy z żądań, czy choćby nawet ze zdania swego. Umiemy mówić, chcąc przekonać innych o naszej słuszności, lecz nie umiemy milczeć, co zazwyczaj wiele prędszy i lepszy odnosi skutek.

Każdy zatem, kto pragnie, aby święta zgoda zapanowała wśród ludzi, niech nauczy się opanowywać samego siebie i ustępować innym. Do tego winna przyczynić się i karność domowa. Gdzie nie ma karności domowej, gdzie dzieci od małości postępują samowolnie, tedy nie dziw, że gdy dorosną, nie umieją okiełznać swej woli, zawsze tylko chcą przewodzić ,zawsze w świecie pierwsze miejsce zajmować, zawsze tylko rozkazywać a nigdy słuchać, a stąd gotowa niezgoda.

Człowiek dorosły zaś sam winien czuwać nad swemi skłonnościami i charakter swój wykształcić przez czujną uwagę i panowanie nad sobą.

Pewien doskonały nauczyciel powiedział o skłonnościach i przyzwyczajeniach, że ich tak dobrze, jak greckiego i łacińskiego języka można się nauczyć, a stokroć one ważniejsze są dla szczęścia ludzkiego.

Z jednostek składa się gromada. Gdy każdy z nas przeniknie się duchem zgody, wtedy zejdzie na ten świat szczęście i spokój.



PIENIĄDZE.

(Legenda.)

Niegdyś na ziemi istniał spokój błogi,
Zadowolenie było z darów Nieba,
I każdy człowiek, nawet i ubogi,
Mówił, że nic mu do szczęścia nie trzeba.

Bo wtedy jeszcze nie znano pieniędzy,
Ni żądzy bogactw, ni żądzy chciwości,
Co ludzkość wiodą do moralnej nędzy
I są plugawem źródłem nikczemności.

Szło więc na świecie wszystko po Bożemu,
I bratnia miłość była, jak należy,
Sąsiadem dobrym był jeden drugiemu,
A nikt nie myślał o gwałtach, grabieży.

I mogło być tak do nieskończoności,
Gdyby nie czuwał duch ciemnej otchłani,
Którego truło to szczęście ludzkości.
Tak, że aż zagubę poprzysiągł dla niej.

Wziął zatem szatan w garście swoje błoto
I rzekł, plunąwszy w nie z szyderczym śmiechem:
„Zło to niech będzie," potem tchnął... a złoto
Błysło pod jego plugawym oddechem.

I rzekł znów: „Kruszec ten żółty błyszczący
W piekielnej kuźni przerobię na krążki."
(Szatańskie usta przebiegł uśmiech drwiący).
„Ludziom na zgubę dam cacko — pieniążki."

I całe piekło zaprzągł do roboty;
Gromady czartów zawzięcie pracują.
Warczą maszyny i łomoczą młoty, —
Na gwałt pieniądze szczero złote kują.

A kiedy mnóstwo tego narobili,
Wynoszą z piekła wielkiemi worami
I pomiędzy ludzi, co w spokoju żyli,
Poczęli ciskać pełnemi garściami.

Błyszczący pieniądz po ziemi się toczy,
Nikczemne w ludziach rozniecając żądze;
Brudną chciwością zabłysły im oczy,
Każdy biegł chwytać corychlej pieniądze.

Błoga spokojność zniknęła ze świata,
Z rąk wyrywano sobie blaszki złote,
Syn grabił ojca, brat rabował brata,
Za marny kruszec sprzedawano cnotę.

I straszne rzeczy na świecie się działy,
Chciwości ludzkiej nie było już granic,
Ażeby zdobyć krążek złota mały,
Życie bliźniego miano sobie za nic.

Człowiek obdzierał, zabijał, rabował,
Plamiąc pieniądze rękami krwawemi.
Śmiały się czarty, szatan tryumfował,
Gdyż odtąd rządził wszechwładnie na ziemi.

A choć Krzyż błysnął na szczycie Golgoty,
Ciskając gromem: zbrodniom, występkowi,
Ludzie wciąż toczą bój o pieniądz złoty
I biją pokłon złotemu cielcowi.

Józef z nad Drwęcy.

Jeszcze o Chopinie.*)

Pojawiają się od czasu do czasu w dziennikach artykuły o Chopinie, które zarzucają słusznie społeczeństwu naszemu, że wprawdzie oddaje cześć należną naszym wielkim poetom, ale nie dosyć ocenia zasługi wielkiego piewcy tonów. A przecież genialny Chopin jest im pokrewny duchem. Jak tamci stworzyli poezyą oryginalną narodową, tak i on stworzył muzykę oryginalną polską, przepiękną, — a powstała ona z tych samych co poezya pierwiastków, bo z romantyczności i politycznego stanu Polski. Pieśń Chopina nawet szczęśliwsza od pieśni tamtych, bo kiedy słowo najpiękniejsze jest dla obcych martwą literą, to nieokreślony język tonów ma ten przywilej, że może duszę prosto w duszę przelać, że jest zrozumiałym dla wszystkich. To też tylko Chopin może dać cudzoziemcowi wyobrażenie o poezyi naszej, gdyż on jest jej tłomaczem i ją niejako uzupełnia. W jego utworach maluje się tęsknota, żal i boleść nad utratą ukochanej Ojczyzny; on odczuł i pojął duszę ludu naszego, szept naszych trzcin nadrzecznych, szum drzew lasów, szelest brzózek na cichych wiejskich cmentarzach, szmer strumyków śród gór polskich się wijących — i wszystko to w szaty stubarwnej swej genialności ubrawszy, ludom świata ku zdumieniu okazał. Pieśń jego, zrozumiała dla wszystkich, rozbrzmiewa po obu półkulach, szerząc sławę imienia polskiego. A my — jakże się mało za to odwdzięczamy! Pamiętajmyż o tem, że siła patryotyzmu leży w poszanowaniu geniuszów narodowych! O ile nam wiadomo, wystawiono Chopinowi pomniki: w Pere Lachaise w Paryżu, w Reinerz, w Żelazowej Woli, miejscu urodzenia jego 1809 r., w Krakowie i w kościele św. Krzyża w Warszawie;



Chopin grający u księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika W. Ks. Poznańskiego.



1809 † 1849

Medal Chopina

wykonany podług modelu artystki Maryi Gerson, córki słynnego malarza, na pamiątkę 90-tej roczn. urodzin i 50 rocznicy śmierci w roku 1899.



Odwrotna stona medalu Chopina.

*) Patrz artykuł w nr. 33-ym „Pracy" p. t. „Setna rocznica urodzin Chopina zbliża się" — Przyp. Red.

Księstwo jeszcze się na pomnik nie zdobyło, tylko uczcił pamięć genialnego Chopina p. Karol Kozłowski wydaniem jego medalu i przepięknej fotograwury, której miniaturowy obrazek podajemy **). Jest ona znacznych rozmiarów i przedstawia Chopina grającego u księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika W. Księstwa Poznańskieko, który w roku 1825 Chopina młodego poznał, polubił i do siebie do Poznania i Antonina zapraszał, sam bowiem był wielkim miłośnikiem i znawcą muzyki — on też skomponował muzykę do Fausta.

Piękna ta reprodukcya wykonaną została podług obrazu olejnego Henryka Siemiradzkiego, twórcy pochodni Nerona; nabyło ją Towarzystwo sztuk pięknych w Warszawie dla swych członków, tak że każdy prawie zamożniejszy dom polski w Królestwie ją posiada. Oprócz Chopina przedstawione są tam następujące osoby: książę Radziwiłł, jego małżonka księżniczka pruska, jego dwie córki Eliza, w której się cesarz Wilhelm I kochał i Wanda później żona ks. A. Czartoryskiego z Rokosowa.

Z albumu pośmiertnego zasłużonych autorek.

Walerya Morzkowska.

Dnia 10-go października 1903 r. zmarła w Warszawie sędziwa i zasłużona autorka, ś. p. Walerya Marrene-Morzkowska. Do ostatnich chwil życia nie wypuszczała ulubionego pióra z dłoni, pisząc powieść, której nie zatytułowała jeszcze, gdy śmierć ją zaskoczyła pełną sił, umysłu i ducha, mimo ulatującego już życia.

Ś. p. Walerya Marrene-Morzkowska urodziła się przed 70 laty we wsi Zbożenna, w pow. Opoczyńskim, gub. radomskiej, w majątku rodziców: jenerała Jana Mallet de Granville i Adeli z Krasińskich. Ojciec Marrenowej przywędrował z armią napoleońską i po odbyciu kampanii w roku 1812 i 1813, osiadł na stałe w kraju naszym jako generał inżynier-instruktor b. wojska polskiego, poczem osiadł na wsi i spolszczył nazwisko na Malletski. Matka zmarłej autorki była rodzoną synowicą generała Izydora Krasińskiego.

Otrzymawszy wychowanie domowe, śp. M. kształciła się potem w Krakowie. Mając lat 16 zaledwie, wyszła za mąż za ś. p. Michała Morzkowskiego, znanego z kilku prac literackich. Owdowiawszy, wyszła za mąż powtórnie za ś. p. Władysława Marrene, który umarł w r. 1898.

Od r. 1877 ś. p. Walerya przeniosła się ze Zbożenny na stałe do Warszawy, gdzie w kołach literacko-artystycznych



Ś. p. Walerya Marrène-Morzkowska.

zebrania poniedziałkowe w jej gościnnym domu na długo pozostaną pamiętne ich uczestnikom, gromadziły bowiem wszystkich, występujących na horyzoncie literatury i sztuki.

Pisarską działalność zaczęła bardzo wcześnie, ale utworów swoich odrazu nie drukowała. Pierwszą jej powieścią ogłoszoną drukiem był w r. 1857 „Nowy gladyator“, poczem posypał się stos książek z pod pióra Marrenowej, czytanych zawsze z zajęciem w ciągu jej 45-letniej działalności pisarskiej.

Zdania i myśli.

Kobiety, które płaczą często, nie płaczą długo, te zaś, które płaczą długo, nie płaczą często.

* *

Nic tak nie przeszkadza do oglądania pięknego obrazu, jak piękna kobieta... stojąca przed tym obrazem.

Dorotka czyli Dzieje dwojga serc zakochanych.

Podanie ludowe.

Przed pół wiekiem jeszcze zamek w Pieskowej Skale był pełen pamiątek. Pożar z dnia 16 lipca 1850 roku zniszczył je doszczętnie. Płomienie strawiły dziesiątki pięknych obrazów, stosy sprzętów, które przez lat 200 z górą służyły właścicielom zamku, stopiły piękne zbiory przyłbic, tarcz, dzirytów, oszczepów, przez pradziadów niegdyś używanych, tylko podań z ust ludu wydrzeć nie zdołały. A podania ludu — to skarbnice, które cenić i przechowywać dla potomnych należy. Jedno z nich zamierzam tu powtórzyć, by żyło jeszcze wśród nas, gdy ci, co je opowiadają do snu wiecznego ułożą się na spoczynek.

W zamku tym pokazywano głęboki loch podziemny, zwany Dorotką, do którego w czasach odległych spuszczać miano przestępców na zamorzenie głodem skazanych. Że zaś nie fantazya ludu takie a nie inne lochowi przeznaczenie przypisuje, znalazłem ślad u Paprockiego, który wywodząc ród Toporczyków, tak pisze: „Bo ci Toporczykowie, będąc zdawna tak możnymi, byli i tacy miłośnicy sławy dobrej, że nieprzystojne sprawy karali“. Celem wyjaśnienia, dodać należy, że Toporczykowie byli właścicielami zamku w Pieskowej Skale. A oto Niesiecki uzupełnia jeszcze to, co powiedziano wyżej, bo pisze: „Wieża Dorotka tak nazwana, w Krakowskiem województwie sławna, w której Tęczyńscy jednę z domu swego, na imię Dorotę, do śmierci trzymali, o jakieś nieprzyzwoite akcye“.

Przytoczywszy tu źródła historyczne, przechodzę do powtórzenia podania w ustach ludu o lochu, Dorotką zwanym, opowiadanego.

W bardzo dawnych czasach, w rodzinie Tęczyńskich była dziewica, imieniem Dorota. Slynęła ona daleko ze swej urody i pięknej postaci. Według dawnych obyczajów, Dorota chowaną była zdala od świata i większą część życia spędzała w gronie matron poważnych na zamku w Tęczynie. Jedyną jej rozrywką była arfa, z której białą rączką dźwięczne wydobywała tony. Częstokroć, siedząc samotnie w ogrodzie zamkowym, pod ulubionym jaworem, młoda dziewica nuciła smętne piosenki przy dźwiękach arfy. Nieraz też po bladych licach stoczyła się z oka łza gorąca, łza tęsknoty. Dorota była sierotą. Wcześnie utraciła rodziców, nad życie kochanych i przez nich rów-

**) Zamieszczone klisze pożyczył nam bezinteresownie p. Karol Kozłowski. P Red.

nież nawzajem kochana. Bolesny ten cios strasznie młode serce odczuło, a tem silniej, że nie posiadała siostry, a bracia rodzeni jej nie lubili, choć Bogu tylko wiadomo dlaczego. Wreszcie z braćmi widywała się rzadko, bo ich niemal nigdy w domu nie było, gdyż brali udział w różnych wyprawach przeciw Szwedom, Turkom, Tatarom.

W młodem sercu jednak, prócz miłości dla zmarłych rodziców, było jeszcze i inne uczucie — tajemne, ale pełne obietnic lepszej przyszłości.



Starożytny zamek w Pieskowej Skale.

Pokochała ona pięknego młodzieńca, z sercem szlachetnem, pełnem zapału, ale Czesław nie pochodził z rodu szlacheckiego. Był on synem uczciwego mieszczanina krakowskiego, trudniącego się złotnictwem, a zarazem, według ówczesnego zwyczaju, wyrabianiem naczyń ozdobnych ze złota i srebra, przyłbic, szyszaków, mieczów i t. d.

Ojciec Czesława, usilną pracą dorobiwszy się pieniędzy, dał synowi możliwie najlepsze wychowanie, a gdy Czesław wyrósł na młodzieńca, poczuł w sobie nieprzepartą chęć do stanu rycerskiego. Chcąc krajowi oddać jakąś przysługę, zaciągnął się pod sztandary pancernych i złożył wiele dowodów swej waleczności w niejednej potrzebie.

Pewnego razu w potyczce z Tatarami, Czesław został silniej raniony, przywieziono go więc do zamku w Tęczynie.

Tu szlachetna Dorota otoczyła walecznego rycerza troskliwą opieką i pod jej okiem młodzian szybko odzyskał zdrowie, ale stracił serce. Pokochał Dorotę i zyskał wzajemność. Młodzi, przejęci najczystszemi uczuciami, zaczęli już marzyć o połączeniu się ślubem dozgonnym, o przyszłem szczęściu wzajemnem, o rozkoszach pożycia przy ognisku rodzinnem, ale nie zdołali przewidzieć, że najdroższe ich nadzieje wkrótce się rozwieją, jak listki róży wiosennej.

Bracia Doroty dowiedziawszy się o wzajemnej miłości tych dwojga serc młodych, postanowili zapobiedz ich szczęściu, obrócić w niwecz marzenia, uważając ten związek za niegodny rodu Tęczyńskich. Na poufnej naradzie, postanowili siostrę czemprędzej wydać za mąż, za jednego z potomków starożytnego rodu Toporczyków, ówczesnego pana na Pieskowej Skale, nazwiskiem Starża, który oddawna już zwrócił oczy na piękną Dorotę i starał się o jej rękę.

Przy pierwszem spotkaniu, bracia Tęczyńscy dali Starży zezwolenie na zawarcie ślubu z Dorotą, której posag jeszcze więcej niż przymioty serca podobały się Starży. Aby zaś zerwać wszelkie stosunki pomiędzy Dorotą a Czesławem, bracia Tęczyńscy pewnej nocy potajemnie wywieźli siostrę z Tęczyna do zamku w Pieskowej Skale i tu gwałtem zmusili ją do wykonania ślubu ze starostą Starżym.

Narzuconego sobie w ten sposób małżonka, Dorota ani kochać, ani szanować nie mogła, a tem mniej, że był to człowiek niegodzien takich uczuć.



Starożytna brama zamku w Pieskowej skale.

Posiadając rozległe włości i wielu poddanych, nie miał ani odrobiny serca. Nad wszystkiem górowała mściwość i zawziętość. Dla wyższych jednak umiał być uniżonym sługą. Niższym obcinał uszy, siekł rózgami, a nawet na śmierć skazywał.

To też pomimo czarujących wokół widoków, pomimo dostatków Dorota z tym człowiekiem nie czuła się szczęśliwą. Więcej nawet, bo czuła do niego wstręt nieprzezwyciężony, a jednocześnie staczać musiała walkę z swem sercem, które oddawna należało do Czesława.

Smutne też płynęły dni młodej pani na zamku w Pieskowej Skale. Powinność i przysięga przykuły ją do zimnego i groźnego Starży, a dusza rwała się za ukochanym Czesławem. Starża namiętnie lubił polowania i biesiady, a na Dorotę widok pijanego męża jeszcze gorsze wywierał wrażenie. Był on jednak strasznie o żonę zazdrosny.

Nagle wybuchła wojna. Trzeba było być posłusznym rozkazowi króla i rozłączyć się na czas pewien z młodą i piękną małżonką, spiesząc natychmiast na czele swej chorągwi przeciw nieprzyjacielowi.

Na odgłos trąbki wojennej — Starża uścisnął żonę, ale nie jak mąż kochający, lecz jak pan groźny.

— Udaję się w drogę i nie wiem kiedy powrócę — rzekł do Doroty wyniośle. — Zamek i służba są na twe rozkazy, baw się, ale nie płacz, a pamiętaj dochować mi wiary małżeńskiej. To ci przypomina twój mąż i pan zarazem.

To powiedziawszy, wsiadł na konia i zostawiając w smutku pogrążoną Dorotę, skinął na pancernych, a wkrótce już tylko pył widać było na drodze z zamku ku Krakowu wiodącej.

Smutno i cicho było na zamku po wyjeździe pana. Służba rada też była, że odpocząć też może po bezustannych

biesiadach, a łagodna Dorota całe dnie spędzała w komnatach w smutku i zamyśleniu. Nadworny błazen napróżno starał się dowcipem zabawić stroskaną panią, nad którą tajemnie miał dozór powierzony i zlecenie, by o każdym kroku Doroty swemu panu donosił

Gdy już zbyt serce nadobnej pani przepełniło się smutkiem i goryczą, schodziła ona z pagórka i kolejno odwiedzała chaty wieśniacze, niosąc tam radość i pociechę biednym i chorym. Starcy i sieroty błogosławili jej wspaniałomyślność, a łzy i uwielbienie towarzyszyły jej krokom. Młoda starościna czyniła wszystko, co tylko mogła, by nikogo nie opuścić, a gdy z radością w duszy opuszczała wioskę, powróciwszy do zamku, chwytała za arfę i jej dźwiękami rozpraszała tłoczący się do serca smutek, chcąc wydrzeć ztamtąd wspomnienie o ukochanym Czesławie, ale napróżno. Obraz ukochanego jeszcze wyraźniej malował się w duszy i nieszczęśliwa czuła dobrze, że serce wzięło górę nad zimnym rozumem.

Czesław zaś, dowiedziawszy się, że Dorota przeniosła jakiegoś możnego rywala nad niego, nie wiedząc o podstępie braci, z rozpaczy na razie chciał sobie życie odebrać, ale wychowany w bojaźni Bożej, postanowił szukać śmierci na polu walki. Niedługo czekał okazyi. Zawrzała wojna z Tatarami, a Czesław ciężko raniony został. Los jednak śmierci mu nie przyniósł. Wyzdrowiawszy, nie chciał z raną w sercu do świata powracać, wstąpił więc do klasztoru pod Krakowem położonego.

Przełożony po pewnym czasie, widząc zdolności i roztropność młodego zakonnika, mianował go kwestarzem klasztornym. Jednego razu wysłano go po kweście w okolicę Ojcowa, a więc i do Pieskowej Skały. Dziwnem zrządzeniem losu, wypadło mu wstąpić i do zamku.

Tam to Czesław oko w oko spotkał się z Dorotą. Oboje zdziwieni, w obojgu też nagle odezwały się uśpione nieco uczucia, które im niegdyś trwałe szczęście wróżyły. Pod wpływem dawnych wspomnień i świeżych wrażeń, miłość nawet silniej w sercach zawrzała. Jedno spojrzenie, jeden uścisk dłoni, a dusze ogniste już się rozumiały.

Czyż wobec tego mamy się dziwić, że braciszek zakonny nie bardzo się spieszył z powrotem do klasztoru?

Ochłonąwszy jednak z pierwszych wrażeń i upojeń, Czesław i Dorota pojęli trudność swego położenia. Na próżno jednak teraz głos powinności odzywał się w ich piersiach. Uczucie wzięło nad nimi górę.

Zaledwie oboje przypomnieli sobie nawzajem krótkie chwile dawnego szczęścia, serca ich nowym i żywszym zajęły się płomieniem. Na nowo oboje zaprzysięgli sobie miłość wieczną. Czesław niebawem porzucił suknię zakonną i przybrał w zamku charakter podróżującego gęślarza, a pani domu otwarcie ofiarowała mu gościnę.

Wprawdzie Czesław i Dorota ukrywali tajemnice swych serc przed domownikami, ale rzecz taka długo ukryć się nie mogła. Nie domyślali się też, że błazen nadworny, udając, że się niczego nie domyśla, potajemnie śledził ich kroki i o wszystkiem panu swemu listownie donosił.

Dorota, choć nie spodziewała się szybkiego powrotu męża, wiedząc jednakże, że postępek jej jest wiarołomstwem, ciągle żyła w obawie, nie ukrywając tego przed Czesławem. Oboje też przemyśliwali nad tem, w jakiby sposób uniknąć grożącego im niebezpieczeństwa i zapewnić sobie trwałe szczęście.

W tym celu, pewnej nocy letniej, gdy już na zamku wszystko ucichło, a domownicy w głębokim śnie byli pogrążeni, Czesław i Dorota, w jednej z najodleglejszych komnat zamkowych, zaczęli wzajemnie układać plan ucieczki, mającej ich ratować przed zawziętością Starży. Projektowali sobie odbycie pielgrzymki do Rzymu; wybłaganie u Ojca świętego przebaczenia i pozwolenia na połączenie się z sobą.

Nagle, podczas tych słodkich marzeń, w przyległym kurytarzu dały się słyszeć kroki, a po odgłosie Dorota poznała chód Starży.

Napróżno Czesław zerwał się, by poszukać oręża, którymby zasłonił siebie i Dorotę, bo uprzedzony tajemnie o schadzce Starża we drzwiach się już ukazał i jednym susem przyskoczywszy do Czesława, mordercze żelazo w piersi mu utopił. Dorota chciała go zasłonić własnemi piersiami, ale w tem przeszkodził jej błazen nadworny, chwytając brutalnie panią za ręce.

Czesław oddał ducha Bogu, a Dorota padła zemdlona.

Chwilę Starża stał i namyślał się co czynić, aż wreszcie śmiech szatański obił się o sklepienie komnaty.

— Wiem co zrobić! Nie zabiję wiarołomnej, lecz przedłużę jej męczarnie.

Kazał usunąć trupa Czesława, a Dorotę zawieść do jej pokoju.

Natychmiast też wysłał gońców po jej braci, a przedstawiwszy wiarołomstwo żony w najczarniejszych barwach, wymógł na nich, że zgodzili się, aby winną najsurowiej ukarać. Postanowiono zamknąć ją w lochu podziemnym, do którego nigdy promień słońca nie dochodził, a gady lęgły się obrzydliwe.

Zaledwie Tęczyńscy opuścili zamek, Starża przystąpił do wykonania swego okrucieństwa. Wczesnym rankiem, kazawszy poprzedzać się służbie z pochodniami, przyprowadził on Dorotę do otworu, wiodącego do lochu. Tu pokazał jej czaszkę z głowy Czesława, napełnioną winem, które ze śmiechem wypił do kropli.

Nie pomógł płacz, ani prośby, tyran bez serca kazał Dorotę spuścić do lochu. Ona jednak sama wskoczyła. Krzyk urywany, jęk ciała upadającego i za chwilę cisza zapanowała...

Loch i dziś jeszcze istnieje, a choć z Czesława i Doroty prochów już niema, lud opowiada sobie dzieje dwojga serc zakochanych i opowiadać będzie dotąd, dopóki choć jedna cegła z zamku na Pieskowej Skale w piasku tarzać się będzie.

L. V. Jacques.

Opatrzność Boża!

Czegoś smutny, bracie drogi?
Pewnie skąpo zboża,
Pewno ci za małe stogi?...
A Opatrzność Boża?

Zapomniałeś, że pamięta
Bóg o smutku ludzi,
On, co żywi i ptaszęta,
Ziarno ze snu budzi.

Zapomniałeś, bracie drogi,
Że gdy Jego wola,
Ześle szczęście w twoje progi,
Urodzaj na pola.

Rozjaśń oczy, rozchmurz czoło
I módl się do Boga:
Dola stanie się wesołą
I przeminie trwoga.

Z. Zacharkiewicz.

Złote listki.

Chęć mówienia, chęć wynurzania się przed drugimi, wzrasta w miarę ciężaru uciskającego myśli.

Adam Mickiewicz.

Broń rewolucyonistów.

Wynalezienie prochu przez skromnego franciszkańskiego mnicha Bertolda Schwarza, stało się epokowym wypadkiem w dziejach cywilizowanych państw Europy. Jak z jednej strony wynalazek Schwarza dał ludziom możność pozbawienia życia innych, bądźto zagrażających wolności osobistej człowieka — bądź też w celu ochrony własnej — tak z drugiej strony — wynalazek ten stał się obosiecznym mieczem, dał bowiem możność osobnikom o zbrodniczych zamiarach skorzystania z niego i zużytkowania go w celach groźnych nie tyle dla pojedyńczego osobnika, ile dla szerszych warstw społecznych, a nawet samych państw. Nie da się zaprzeczyć, że wynalazek prochu stworzył dla europejskich społeczeństw olbrzymią moc, stawił je na piedestale potężnych mocarstw, jednakże hasło niszczenia życia przybrało tak zastraszające formy, że każdy osobnik stał się poniekąd sędzią i panem życia i śmierci bliźniego.

Długi czas był proch strzelniczy w tym rodzaju jedyną bronią, narzędziem walk i mordów. Z czasem jednak przyszedł postęp, jak przyszedł również i w innych dziedzinach wiedzy kulturalnych państw.

Udoskonalono wynalazek mnicha Schwarza przez dodanie różnych mieszanin do prochu, przez wynik prac w chemicznych laboratoryach. Pierwszym krokiem postępu na tym polu było wynalezienie *nitrogliceryny*, później zaś *dynamitu*.

Środek ten stał się morderczem narzędziem w rękach rewolucyonistów, zwłaszcza rosyjskich.

Dzień w dzień przejęci jesteśmy okropnymi epizodami gwałtownie szerzącej się rewolty w granicach caratu, dzień w dzień dochodzą nas echa od Częstochowy po Petersburg, od Sweaburgu po morze Kaspijskie o przerażających mordach politycznych, dokonanych przy pomocy dynamitu i wybuchowych materyi, zamkniętych w specyalnie skonstruowanych narzędziach, zwanych bombami.

Wielki dramat historyczny, rozgrywający się od dwu lat w Rosyi, zbliża się ku swemu kulminacyjnemu punktowi. Teraz albo władza naprawdę dostanie się w ręce żywiołów postępowych, szczerze miłujących wolność — lub też wybuchnie właściwa rewolucya i Rosyę ogarnie pożar tak straszny, że wszystkie okropności rewolucyj francuskiej będą wobec niej niczem. Zawiele bowiem w państwie niewoli i ciemnoty nagromadziło się zduszonych w sobie nienawiści, żądzy zemsty i bólu serdecznego.

„Gwałt niech się gwałtem odciska!“

Na przemoc, na wołające o pomstę do nieba gwałty Moskali, na niewidziane dotąd nadużycia carskich czynowników użyli rewolucyoniści rosyjscy broni tak okropnej, również strasznej, jak czyny i zbrodnie, popełniane przez carat.

* * *

Kiedy przed jakimś czasem odkryto w Paryżu laboratoryum bomb, najpoważniejsze dzienniki podawały opisy i illustracye autentycznych rosyjskich bomb. Jedne bomby są kształtu kul, z kilkoma wystającemi w kształcie kolców kapslami, które pękają przy rzuceniu i uderzeniu o kamień, podobnie ma się rzecz z bombami, umieszczonemi w bukietach. (Taką np. bombę rzucono na hiszpańską parę królewską zeszłego roku w Madrycie).

Inne narzędzia mordercze rewolucyonistów tworzą t. zw. machiny piekielne z przyrządem zegarowym, skonstruowanym w ten sposób, że nakręca się go na godzinę, o której wybuch ma nastąpić. Skutki wybuchu bomb są tak okropne, że trudno sobie wyobrazić inny straszniejszy środek, niwelujący życie i siedziby ludzkie, nad ten piekielny zaiste wynalazek.

Dom, w którym bomba wybuchła, pada cały prawie w gruzy, ściany pękają i walą się, dach wylatuje w powietrze, w okolicznych zaś domach wypadają oddrzwia i szyby. Straszliwem zaś jest następstwo wybuchu, którego ofiarą pada człowiek. Pamiętamy zamach na W. ks. Sergiusza.

Wybuch spowodował urwanie obu nóg, strzaskanie czaszki, wypalenie oczu, słowem całe ciało było jednym strzępem mięsa, jedną krwawą masą.

Przerażenie i lęk ogarnia nas czytających o podobnych epizodach dramatu rosyjskiego, nie zna bowiem historya społeczeństw podobnych wypadków o takiej grozie i straszliwych skutkach, jak zamachy terorystyczne rewolucyonistów w krainie białego cara.



Znaczenie odzienia.

Ubranie zasłania ciała nasze przed zimnem i upałem. Ludzie ucywilizowani noszą ubranie również z poczucia wstydu, dla ukrycia nagości swojej. Natomiast ludy dzikie w krajach gorących chodzą zupełnie nago, a co najwyżej osłaniają biodra swe przepaskami ze skóry zwierzęcej, z liści, z piór ptasich lub tkanin.

W krajach zimnych, jak nasze, obawa przed zimnem przedewszystkiem, skłoniła ludzi do troski o odzienie. Skóra z zabitego zwierza była pierwszem okryciem zarówno w lecie jak w zimie, w dzień i w nocy. Z czasem dopiero, gdy ludzie poznali użyteczność lnu i konopi zaczęto wyrabiać płótno i szyć z niego bieliznę. Przedtem koszul nie znano. Skóra zwierza była wszystkiem. Jeden z królów angielskich miał dwie koszule, co wtedy za taką uważano osobliwość, że ją zapisano w kronikach państwa.

Dzisiaj — z postępem oświaty — ludzie wysilający swe mózgi — i kieszenie — na ubiory, odzienie przestało już być tylko odzieniem, a stało się głównie — strojem.

Nietylko u ludzi zamożnych po miastach, ale po wioskach i siołach mnożą się z roku na rok wydatki na stroje. Przykład idzie z góry. Modne panie rujnują majątki swych mężów na ozdobę swej cielesnej powłoki, przesadzają się jedna nad drugą. Nieraz taka pani więcej majątku nosi na sobie jak ma w domu. Za ich przykładem idą inne córki matki Ewy. Służąca chce dorównać swej pani, na stroje więc idzie cała jej zasługa a niekiedy i — cnota. Dziewczęta wiejskie, żony, matki również na stroje są wrażliwe. Powiadają, że wiele z nich co zarobi w Prusach, w Ameryce, wszystko wyda na fatałaszki. Pogoń za modą wygnała z miast i wiosek dawne, swojskie ubiory a sprowadziła miastowo-żydowską tandetę. Walka z nią prawie, że nie możliwa, daremna. A jednak nie masz piękniejszego stroju nad strój nasz polski ludowy! Gorset dla dziewcząt, kobiet, płótnianka, sukmana dla mężczyzn zakasują najmodniejszą miastową strojnisię. Niechże strój ten ludowy będzie zachowany przynajmniej jako strój odświętny!

Nas, mówiąc o ubraniu, obchodzi przedewszystkiem wpływ jego na zdrowie. Otóż nieda się zaprzeczyć, że wszelkie tandety miastowe sprowadziły na wsie wiele chorób, o których dawniej słuchu nie było. Co jednak najbardziej wpływa na zdrowie, to czy-

stość ubrania. Zarówno wierzchnie odzienie a zwłaszcza bielizna wymaga wielkiej czystości, wszelki bowiem brud w ubraniu nietylko sprawia obrzydzenie, ale sprowadza różne przypadłości i choroby ciała. Dla bielizny nie żałować wody, mydła a dla sukien, powietrza, szczotki i trzepacza!

Z bieżącej chwili.

† *Kardynał Domenico Svampa,* jeden z kandydatów do tronu papie-



† Kardynał Domenico Svampa.

skiego po śmierci Leona XIII. zmarł w Bolonii w dniu 11-go z. m.

* *

Znów porwanie biskupa?

Pisma warszawskie donoszą, że w niedzielę dnia 18-go b. m. zawezwano nagle ks. biskupa wileńskiego Roppa do departamentu „wyznań obcych" w Petersburgu. Wieść o tem obiegła w



Ks. biskup wileński Ropp.

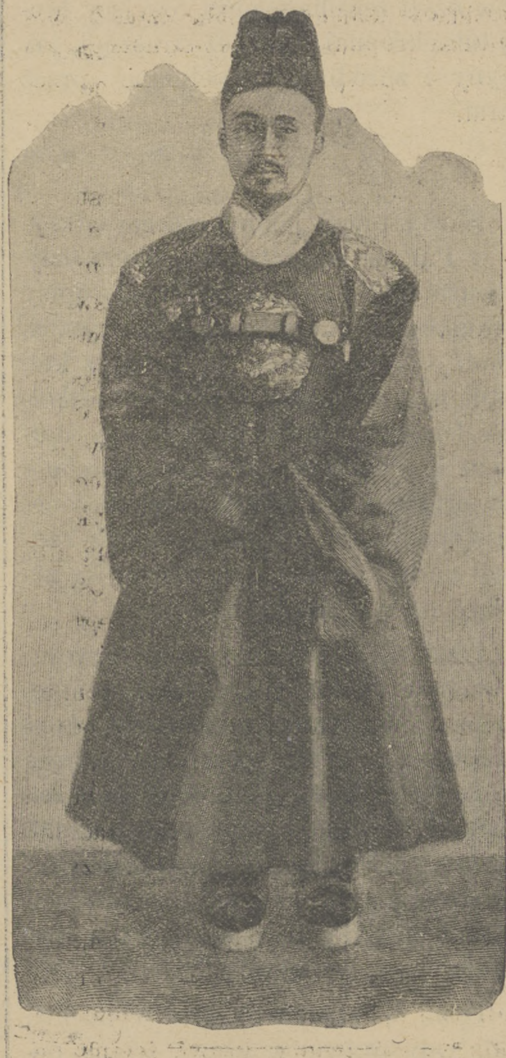
mgnieniu oka Wilno i wywołała wielkie wrażenie. Ks. biskup Ropp uczynił niezwłocznie zadość wezwaniu i opuścił już Wilno, udając się do stolicy nadnewskiej. Mimo całej tajemniczości wyjazdu zgromadził się poważny zastęp ludu, który z płaczem odprowadzał swego pasterza. Ks. biskup wzruszony dowodami przywiązania, odjechał, błogosławiąc wszystkich.

W Wilnie rozpowszechniło się przekonanie, że ks. biskup nie powróci już do swej dyecezyi.

* *

Zdetronizowany cesarz koreański.

Kroki gabinetu tokijskiego doprowadziły ostatecznie, jak wiadomo, do tego, że stary cesarz koreański musiał



Zdetronizowany cesarz koreański.

się zrzec korony. Jego syn i następca schodzi pod władzą Japonii do roli honorowego manekina. (Patrz artykuł p. t. „Losy Korei" w nr. 33-cim).

Pielęgnowanie noworodka.

(Pogadanka hygieniczna).

Ze wszystkich istot żyjących, człowiek najbardziej jest niedołężny i bezsilny w pierwszych początkach swego żywota. Dlatego też noworodek wymaga jak największej troski i opieki.

Pierwszy płacz dziecięcia, to pierwsza skarga na świat, a zarazem wołanie o pomoc. Bez niej żyć ono nie będzie. Ze zmysłów nie wszystkie oddają człowiekowi usługi zaraz w zaraniu jego życia. Dotyk, smak, powonienie, działają od urodzenia, natomiast uczucie bólu jest jeszcze niezbyt wyrobione. Słuch i wzrok są wprawdzie zdolne do przyjmowania wrażeń, jednakże wyrabiają się dopiero w ciągu pierwszych 4 do 6 tygodni. Stąd to zapewne powstała gadka, że mazur jest ślepy do 9 dnia po urodzeniu!

Opieka nad noworodkiem w dwu przedewszystkiem kierunkach powinna się objawiać, 1. aby dziecina przebywała w dostatecznem cieple i czystości, a 2. powtóre, aby otrzymywała taki tylko pokarm, który może strawić i zużytkować. Ważną jest bardzo pierwsza kąpiel dziecięcia. Powinna być dosyć ciepła + 28 stopni Reaum. — ale nie za gorąca, bo taka daleko niebezpieczniejszą jest od zimnej. W kąpieli za gorącej dziecko łatwo dostać może drgawek (konwulsyi) a niekiedy nawet ginie. Naodwrót jednak kąpiel za zimna, o ciepłocie niższej aniżeli + 28 stopni Reaum. jest szkodliwa i niebezpieczna, gdyż obniża zbytnio naturalną ciepłotę dziecka. Gdzie w domu jest ciepłomierz, tam łatwo przyrządzić kąpiel dobrą. Inaczej jednak, gdy mierzy ją położnica łokciem ręki!

Zadaniem pierwszej kąpieli jest dokładne obmycie dziecka z mazi, tłuszczu, smółki i krwi, któremi zazwyczaj bywa pokryte. Do obmywania dziecka w kąpieli najlepiej używać gąbki lub waty. Nie można jednak tą samą wodą i tą samą watą obmywać oczu. Kąpiel pierwsza nie powinna trwać dłużej nad 5 do 6 minut. Gdyby nawet w tym czasie nie można było dokładnie obmyć dziecka, to mimoto kąpiel ponad 6 minut przedłużać nie należy. Wyjąwszy dziecko z kąpieli, trzeba je zaraz zawinąć w ciepłe płócienne pieluszki i dokładnie niemi wysuszyć, przyciskając je zlekka do ciała dziecka, ale bez wycierania. Zazwyczaj po przyjściu na świat aż do pierwszej kąpieli pozostawiają położnice dziecinę obnażoną. Otóż taki zwyczaj jest szkodliwy dla zdrowia dziecka. Przeciwnie zaraz po urodzeniu należy dziecinę obwinąć w jakieś ciepłe okrycie.

Na posłanie najlepiej nadaje się wózek lub kosz z zasłoną przed rażącem światłem. Dziecko jest bardzo wrażliwe. Tak samo dzieci nie powinny leżeć na miękkiem posłaniu, a już zgoła nie na pierzynkach. Najlepsza słoma lub siano. Kołyska coraz bardziej jest zarzucaną. Przez kołysanie wprawdzie dziecko prędzej usypia, ale dzieje się to kosztem jego zdrowia, bo sprowadza zawrót głowy.

Ubranie dziecka służyć ma do ochrony przed zimnem, ale żadną miarą

nie powinno krępować, ani ugniatać dziecka. Powijanie i krępowanie krajkami tak, że dziecina żadnego ruchu wykonać nie może, jest niedorzecznością. Dziecko tak powinno być okryte, aby miało swobodny ruch rąk i nóg. Wtedy dziecina układa się tak jak była w łonie matki, a więc nóżki ściąga lekko do brzuszka, rączki silnie zgina i trzyma je w pięść ułożone przy bródce.

Czystość ubrańka, pieluch, rozumie się jest niezbędną.

Będę...

Odleciała już wiosenka,
Odleciała już...
Wypłowiała jej sukienka —
Już nie rzucą na krosienka
Pęków kwiecia róż,
Szkarłatnych —
Woniejących róż.

A choć gdzieś tam kwieć się płoni
W sadzie, czy wśród kniei, —
Brak mu już majowej woni,
Słowik, pieśnią już nie dzwoni
Do lubuńci swej —
Kochanki,
Do jedynej swej.

Już nie szepcze jej do uszka
Wypieszczonych słów,
Nie przemawia do serduszka;
Nie uplata jej wianuszka —
Z młodocianych snów,
Pieszczoty,
Z nieprześnionych snów.

Wiosna przemkła, lato minie,
Przejdzie w inny kraj —
A ja z pieśnią, przy dziewczynie,
Będę wiecznie w tej krainie
Gdzie króluje maj
Marzenie,
Maj uroczy maj!

Będę wiecznie wiosnę gonił
Ukwieconych stron,
Słodkie łezki serca ronił —
I do ciebie, dziewczę, dzwonił
W serca luby ton
Z mej piersi,
W serca luby ton.

Stanisław Bartoszewicz.

Sprawy ekonomiczne.

Krawieczyzna t. j. wykonywanie sukien damskich, uchodzi za jeden z najniewdzięczniejszych i najwięcej przepełnionych i najmniej płatnych zarobków kobiecych. Dla czego? Oto dlatego, że biorą się do sposobu zarobkowania osoby nie przygotowane należycie i nie znające dostatecznie swojej roboty.

Krawieczyzna dzisiaj nie jest już zwykłem rzemiosłem, ale sztuką, a bardzo niewiele pań chcących w tym zawodzie pracować, uznaje to i poświęca odpowiedni czas na naukę fachową.

Dzisiaj wymagania pod względem kroju, linii i wykonania tualety damskiej są tak duże, że nie wystarczy osobie chcącej samodzielnie krawieczyznę prowadzić, kilkoletnia praktyka w magazynie. Jest ona niezbędną dla tych, co chcą fachowi temu się poświęcić, celem nabrania wprawy i biegłości w szyciu. Lecz przy tem zajęciu panienka wydoskonali się jednostronnie, gdy zaś przyjdzie jej na własną odpowiedzialność skroić, przymierzyć, zadecydować fason odpowiedni do budowy figury, wtedy rady sobie dać nie może, bo część tej pracy w magazynie podejmowała dyrektryza.

Dlatego każda panienka, chcąca bądź na własną rękę szwalnią otworzyć, bądź szyć po domach, bądź jako dyrektryza lub panna służąca podjąć się krawieczyzny, powinna przejść kurs nauki kroju i szycia w specyalnych szkołach fachowych, która to nauka da jej konieczny pogląd na całość roboty i niezbędne wiadomości potrzebne przy przedsięwzięciu jakiejbądź pracy, bez dyrektywy czyjejkolwiek na własną odpowiedzialność.

Tak fachowo wykształcone osoby są zawsze poszukiwane i zawsze będą miały robotę i obecnie nie gorzej zapłaconą jak inne gałęzie pracy kobiecej, a umożliwiające młodym dziewczynom byt niezależny i mieszkanie przy rodzicach, tem więcej tam, gdzie kilka sióstr w domu pracuje ręka w rękę, a przez podział pracy przyspiesza wykonanie nie zwiększając wydatku na maszynę, mieszkanie, żurnal, światło i opał, przez co powiększyć mogą znacznie dochody.

Dotychczas osobom mniej zamożnym nabycie tych wiadomości było utrudnionem, trzeba było wyjeżdżać do wielkich miast.

Dzisiaj mamy taką *szkołę w Poznaniu założoną przez p. Zofię Szuman* przy ul. Piekary nr. 6, której system nauki obliczony na możliwie krótki przeciąg czasu i nabycie jak największej samodzielności i pewności siebie.

Dział kobiecy.

Kapłanka domowego ogniska.

Matkę, żonę, gospodynię domu, nazywamy kapłanką domowego ogniska.

Co to znaczy?

W dawnych czasach palono w świątyniach pogańskich na cześć bogów wieczny ogień. Do pilnowania i utrzymywania tego świętego ognia, który *zniczem* nazywano, ustanowione były kapłanki. Ich staraniem było, aby ten ogień nigdy nie wygasł, lecz wiecznie równy wydzielał blask i żar. W Rzymie zwały się *westalkami.* Ich znaczenie pierwsze było w państwie. Gdy westalka przechodząc, spotkała prowadzonego na śmierć, skazaniec był wolny.

I dom rodzinny podobny jest do takiego znicza. Na ognisku domowem palić się ma wiecznie ogień wzajemnej miłości, szczęścia i pokoju. Otóż staraniem kobiety, żony, matki i gospodyni jest, aby taki ogień nigdy nie wygasł, a wtedy zasłuży ona w zupełności na nazwę kapłanki i jak kapłankę każdy ją czcić i szanować będzie.

Cóż tedy ma czynić gospodyni, żona, matka, aby na tę nazwę zasłużyła?

Nie chodzi tu o wielkie czyny, ale o te drobne, tysiączne obowiązki codziennego jej życia, które jakby pasmo, składają całość szczęścia rodzinnego.

Oto parę praktycznych uwag, nakreślonych przez jedną z Polek pisarek dla szczęścia swych sióstr:

Dobra matka i gospodyni powinna wszelkiemi siłami starać się rodzinie uprzyjemniać pobyt w domu. Na to zaś składa się czystość i porządek w domu, ochędóstwo w ubraniu jej samej i dziatek, a nadto cichość. Nie zrzędzić, nie gderać całemi dniami o byle co. Matka powinna zawsze uspokajać, a nie niepokoić, nie podburzać ojca przeciw dzieciom, nie skarżyć i nie żądać, aby ojciec je bił.

Kapłanka, gospodyni domu musi dbać o to, aby mąż, dzieci i wszyscy domownicy mieli zawsze w czasie i porządnie podane — **jedzenie.** Nic go-

rzej nie wpływa na humor domowników jak licho zrobione i źle podane jedzenie. Skoro członkowie rodziny wracają wyczerpani robotą, powinni wnet dostać obiad dobrze ugotowany i czysto podany. Tymczasem często się zdarza, że zgłodniali wyczekiwać muszą, a potem, dostaną przydymioną zupę, niesłoną jarzynę, na misce, nieumytej jeszcze z wczorajszej wieczerzy i każą im jeść brudną jeszcze łyżką na brudnym stole!

Zacznijcie zatem miłe gosposie od wypełnienia tych dwu podanych uwag!

Rozmaitości.

Wieczna młodość. W Webster-City (w stanie Jowa) świeżo założono stowarzyszenie, jedno z najoryginalniejszych nawet na tle dziwactw amerykańskich. Nazywa się ono „pierwsze towarzystwo wiecznej młodości" i dąży do przedłużenia wieku ludzkiego. Dziwne jednak są środki, które mają prowadzić do tego celu. Ustawa przewiduje kary pieniężne, nakładane na każdego członka, który „pozwoli sobie" zachorować.

Reszta jest traktowaną, jak i wszystko w Ameryce, poważnie. Towarzystwo już posiada kilkuset członków.

Jeden z artykułów ustawy brzmi, jak następuje: „Każdy członek towarzystwa, który zachoruje i przez trzy dni nie wyjdzie z pokoju, po raz pierwszy zapłaci karę od 1 do 10 dolarów; gdy zawini powtórnie, zostanie usunięty z towarzystwa na czas określony, za trzecim zaś razem będzie nazawsze wykreślony z listy członków."

Jest to zapewne środek radykalny. Po usunięciu wszystkich chorych otrzyma się towarzystwo ludzi zupełnie zdrowych.

Jeden z następnych artykułów brzmi jeszcze poważniej: „Każdy członek towarzystwa, po przyjęciu, składa zobowiązanie dowodzenia wszędzie i w każdym wypadku, że choroba, starość i śmierć — są to tylko wstrętne nawyknienia, z któremi należy zerwać na zawsze."

Ustawa nie przewiduje jednak żadnej kary dla tych członków, którzy, pomimo tak stanowczego twierdzenia „pozwolą sobie" umrzeć.

— *Taniec a małżeństwo.* W starodawnem mieście hiszpańskiem Barcelonie odbędzie się wkrótce kongres tancmistrzów z całego świata. Przy tej sposobności, dla zrobienia reklamy kongresowi, tancmistrzom, a przedewszystkiem sobie samemu, p. Giraudet, jeden z największych mistrzów choreografii w Paryżu, w rozmowie z pewnym współpracownikiem „Figara" stwierdził, że największa liczba małżeństw przychodzi do skutku przez poznanie się młodej pary w tańcu.

Paryska akademia choreografii, której prezydentem jest Giraudet, rozpisała w tym celu ankietę i otrzymała odpowiedzi od 3,096 tancmistrzów z rozmaitych stron świata, którzy ze swojej strony zwrócili się z pytaniami do swoich żonatych uczniów. Liczba tych uczniów wyniosła dokładnie 1,097,503 głów, czy par nóg. Odpowiedzi wypadły nad wyraz pomyślnie dla tańców. Uczniowie twierdzili, że po największej części poznali swoje żony przyszłe podczas tańców.

Wedle tej statystyki np. w Niemczech aż 97% małżeństw skojarzył taniec. W państwie austryackiem 71%, we Francyi 83%, najmniej w Norwegii, bo tylko 39 proc. Cyfry te przemawiają dosadnie za tańcem, który wiedzie do ołtarza. Tak powiedział... pan Giraudet.

— *„Drapacze chmur" w niebezpieczeństwie.* Niebotyczne domy w miastach Stanów Zjednoczonych, tak zwane „drapacze chmur," mające nieraz po 25 pięter i więcej, zbudowane są nawet w fundamentach głównie z żelaza. Na podobieństwo znanych powszechnie ścian pruskich, robi się z żelaza zrąb całego domu, a tylko przestrzenie między belkami a sztabami żelaznemi wypełniane są cegłą, betonem lub innym materyałem. Od niejakiegoś czasu zaczęły się szerzyć osobliwie w New-Yorku i w Chicago pogłoski, iż te domy są krzywo zbudowane.

Ponieważ pogłoski takie szkodziły bardzo właścicielom domów, bo mieszkańcy obawiali się o ich zawalenie, przeto wystąpiono sądownie przeciw szerzycielom takich pogłosek. Wyznaczona do sprawdzenia tych pogłosek komisya urzędowa przekonała się drogą bardzo ścisłych pomiarów, iż domy te rzeczywiście pochyliły się wszystkie w jedną stronę, tj. ku północy, i to domy wyższe i dawniejsze, mocniej niż niższe i świeższe.

Przyczyna tego jest jasna. Ponieważ w tych domach jest bardzo dużo żelaza, przeto magnetyzm ziemski działa na nie w ten sposób, iż przyciąga je ku sobie północny biegun magnetyczny, stąd pochylenie się wszystkich domów w jedną stronę, tj. ku północy, postępujące corocznie jak wymierzono, o 10 sekund łuku koła. Jeśli nie uda się powstrzymać tego działania magnetyzmu ziemskiego „drapacze chmur" mogą znaleść się po latach w poważnem niebezpieczeństwie."

Przestrogi i rady.

Kąpiele rzeczne. Nic przyjemniejszego i zdrowszego w lecie nad kąpiele rzeczne. By one jednak były dla nas korzystne, nie trzeba ich, jak wszystkiego dobrego, nadużywać; a więc nie przesiadywać w wodzie dłużej jak kwadrans. Najlepszą porą na kąpiel są godziny poranne, oraz wieczorne, mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca. Po kąpieli należy się szybko ubierać, żeby uniknąć przeziębień i katarów.

Nie powinny się kąpać w zimnej wodzie osoby w podeszłym wieku, małe dzieci, młodzi w chwilach rozwijania się, osoby cierpiące na liszaje, podagrę, reumatyzm, krwiotok, płuca, serce lub jaką inną większą chorobę. Wystrzegać się też powinny zimnej kąpieli osoby z obciążonym pokarmami żołądkiem, gdyż łatwo mogą się nabawić ciężkiej choroby, która najczęściej kończy się śmiercią.

Nadzwyczaj zaś są pomocne kąpiele dla osób skłonnych do tycia, z zarodkami suchot. Kąpiele leczą skutecznie skrofuły, choroby nerwowe i bladość cery. Dobre są również dla regulowania trawienia, dla ludzi ociężałych i osłabionych. Jeżeli rozsądnie używane, kąpiele rzeczne są tak skuteczne, jak morskie.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 1-go września 1392 Krzyżacy oblegają Wilno. — 1674 Turcy wpadają na Podole. — 1728 śmierć hetmana Stanisława Chomętowskiego. — 1790 ogłoszony wyrok na zdrajcę Ponińskiego.

Dnia 2-go września 1621 bitwa pod Chocimem. — 1793 sejm Targowiczan w Grodnie otoczony, przez Moskwę. — 1831 bitwa pod Terespolem.

Dnia 3-go września 1390 Wilno przez Krzyżaków oblężone. — 1621 bitwa pod Chocimem.

Dnia 4-go września 1621 bitwa pod

Chocimem. — 1818 car Aleksander gwałci konstytucyę w Kongresówce.

Dnia 5-go września 1725 ślub Maryi Leszczyńskiej z Ludwikiem XV. — 1772 traktaty trzech mocarstw co do rozbioru Polski. — 1831 sejm odrzuca wszelką ugodę z Mikołajem.

Dnia 6-go września 1580 zdobycie Wielkich Łuk. — 1794 Prusacy ustępują z pod Warszawy. — 1831 atak Moskwy do Warszawy. Śmierć Sawińskiego.

Dnia 7-go września 1422 bitwa pod Nieszawą z Krzyżakami. — 1621 utarczka pod Chocimem. — 1789 wyznaczono deputacyą do utworzenia konstytucyi. — 1831 Krukowiecki poddaje Warszawę.

Humor i satyra.

Chytry.

— Co? Tylko co pozwoliłam ci się pocałować, a już znów żebrzesz?

— Przy tak ślicznych, maleńkich usteczkach właściwie każdy całus można liczyć tylko za pół!

* * *

Niecierpliwi.

Zakrystyan: Cóż to państwo zjawiają się do ślubu o godz. 6 rano?

Panna młoda nieśmiało: Przecież jesteśmy już zaręczeni od blizko lat dziesięciu. .

* * *

Poznanianki na letniskach.

— Ale jaja dziś strasznie małe, panie gospodarzu, czyż pan nie wyjął je z gniazd przedwcześnie?

* * *

Z obrony.

— Za dobrem sercem oskarżonego przemawia, iż skradzione rzeczy podarował teściowej.

* * *

Zwierzenie Julci.

— Ach! mam dzisiaj takie pragnienie, jakby mnie pocałował w usta dyrektor największej w Europie kopalni soli.

* * *

Tak bywa...

Iluż to jest ludzi, których jedyną szczerością jest głupi wyraz twarzy.

U wielu jedyną podstawą stanowiska społecznego jest... obcas.

* * *

U fotografa.

(*Otyła dama do fotografa*).

— Ależ, panie, ta fotografia za mało wyretuszowana.

— Bo, proszę pani, taką „tuszę“ jak pani, bardzo trudno jest dobrze „wyretuszować!“

* * *

Ten jeden...

Gdym raz siedział z nią o zmroku,
Gdym raz siedział przy dziewczynie,
Rzekłem z cicha: „Patrz! jak cudnie
Tam wśród gwiazdek miesiąc płynie!“

E!... mój luby!... — rzekła na to,
Co mi z tego — szkoda mowy,
Ja do tego tylko wzdycham
Co to się zwie... wiesz?... „miodowy!“

* * *

Co to znaczy.

— Winszuję ci, winszuję, mój kochany... Słyszałem, że dostałeś spadek po dziadku...

— Ee... mój drogi, co to znaczy!... Jedna przejażdżka za granicę, nowy garnitur letni, dwie — trzy kolacyjki w separatce — i dziadka, jakby wcale nie było!...

* * *

Objaw waryacyi.

Żydówka wpada do lekarza i woła:

— Panie dochtór, niech pan dochtór ratuje, bo mój Icyk zwaryował.

— A po czem to pani poznaje?

— Ny, bo un jadł szynkę.

— I nie więcej?

— I tę służącą Kaśkę, co jest chrześcianka, pocałował.

— To jeszcze nie dowód, że zwaryował.

— Wi hajst? nie dowód? A kiedy byłby dowód, że zwaryował?

— Gdyby Kaśkę zjadł, a szynkę pocałował.

Łamigłówka rachunkowa.

Ułożył czytelnik Pracy S. Jakubowski z Essen.

Poniższe liczby ułożyć tak, ażeby wszystkie rządki w kierunku pionowym jako też poziomym dały liczbę 215.

10	15	15	15	15	15	20
20	20	20	20	20	20	20
20	25	25	25	25	25	25
30	30	30	30	30	30	30
30	30	30	30	30	30	30
35	35	35	35	35	35	40
60	60	60	60	60	60	60

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 7 b. m. włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie logogryfu z nr. 33-go:

1. **P**iąte**k**
2. **A**rn**o**
3. **N**icpo**n**
4. **S**zerok**i**
5. **K**oleg**a**
6. **I**ndygena**t**
7. **E**ksces**u**
8. **O**ble**c**
9. **K**orneliu**sz**
10. **O**kular**y**

Pańskie oko konia tuczy.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. M. Pławiński, L. Ludkowski, Janek z pod Góry Przemysława, S. Bresiński, M Maliński i Antolek Osten-Sacken w następującym wierszyku:

Myślę, że zagadkę dobrze rozwiązałem,
Więc też rozwiązanie natychmiast posłałem,
Bo wiem, że stare przysłowie nas uczy:
„Pańskie oko konia tuczy“.

Z prowincyi: pp. F. Chytry z Kobylina, Ks. Winklewski z Inowrocławia, Czesława Feigel z Łabiszyna, W. Kaźmierski z Śmigla, M. Jęśkowiak z Konar, B. Ruge z Kruszewa, I. Szałkowska z Kozłowa, Z. Jaworska z Sławska, J. Kowalski z Bagateli, J. Kolańczyk z Kowalewa, W. Sławińska z Zębowa; *z Prus Zachodnich:* pp. F. Sędzicki z Rotębarka, A. Galla z Subków; *z Górnego Śląska:* pp. J. Kędzior z Przczyny, F. Oleszko z Kunar, B. Nierabisz z Wieszowy; *z Śląska austryackiego:* pp. K. Lasar i A. Kopel z Zebrzydowic; *z Galicyi:* pp. Kierska z Truskawca, M. Zborowska z Andrychowa, M. Skiba z Jasła. J. Tatkowski z Łąki, K. Kmiecikiewiczowa z Przemyśla; *z obczyzny* pp. S. Wegner i A. Skrzydlewski z Berlina, I. Łysiak ze Charlottenburga i L. Mąkowski z Witten.

Nagrodę otrzymali: pp. Antolek Osten-Sacken z Poznania, A. Galla z Subków i J. Tatkowski z Łąki.

Jan Andruszewski.

Na moje sumlinje!

I.

Mroźny opar na pół rozmarzłych oparzelisk gęstą siwą mgłą tężeje nad śniegiem. Po pustej, zawianej nim wiejskiej drodze palą się krwawe łuny zachodzącego słońca.

Palą się i mroczą, gasną pod strzępami brudnych chmur, pełznących ciężko ku purpurowej kuli słonecznej.

— — — — — — — — — —

Zaprzężone w parę nędznych włochatych koniąt, po zasypanym gościńcu kopią się z trudem długie, wązkie chłopskie saneczki. Lekarza wiozą od chorego. Za lasem w Jedlinie tyfus plamisty. Od kilku tygodni już tam grasuje, a trudno mu poradzić. Pilnują i żandarmi, żeby się ludzie „stamtąd" nie włóczyli i doktor jeździ codziennie, nawet fizyk z powiatu był już dwa razy, a wszystko na nic, bo jak chorowali ludzie, tak chorują.

— — — — — — — — — —

Powiało lodem od rzeki — jęknął wicher — nito upiorem zimnym przeleciał po stepie. Skłębiły się czarne obłoki — skryły słońce, w ciemno-siny cień spowijają przestrzeń i sanie i konie i ludzi i bór sosnowy przed nimi.

II.

Rozkołysane wiatrem chylą się ku sobie ściany boru — wyciągają pogięte konary — szumią sypkim, metalicznym gwizdem szpilkowych kiści.

Jakby dreszcz przeszedł od tego gwizdu po krzyżach lekarza. Próbuje ręką, czy mu się futro nie rozpięło na piersiach, otula szczelniej nogi wełnianym kocem. Lecz to nie wiele pomaga. Chłodno mu jakoś... Czyżby przeziębił się u licha? Ależbo gorąco było w tej tam chałupie! Pułap niski, że musiał dobrze się schylić, zanim wszedł do izby, a z pieca buchało, niby z czeluści piekielnej. Nim zbadał chorego, kąpał się cały w pocie, a potem znów ten zimny wicher... A i od chłopa biło też żarem, biło! Jeszcze i teraz czuje oddech jego palący, czuje, jak zgniłym skwarem niezdrowej gorączki po skroniach mu pełza, jakby przylegl do nich od owej chwili, kiedy z twarzą u rozpalonej piersi chłopskiej słuchał jej oddechu. Żeby się tylko i do niego to licho nie przyczepiło... Wszakże nie miał jeszcze tyfusu. Nie dziś, to jutro może go dostać. Jak na złość wyjechał bez obiadu, choć wiedział, że nie powinien tego robić, bo czczy organizm mniej odporny... Ale tak go błagali, tak naglili, że chłop umiera. Pojechał.

Nigdy mu jakoś tak dziwnie nie było, jak dzisiaj. Ten dreszcz po krzyżach...

Zdaje mu się nawet że i sosny inaczej dziś szumią niż zwykle. Olbrzymie ich ramiona wyciągają się w mroczniejący przestwór, niby potworne skrzydła jakichś widm ponurych. Coś niedobrego od nich wieje... Coś, co przypomina febryczne opary bagnisk rozkisłych pod wiosnę, coś jak mdląco- duszne tchnienie chałup zakażonych gorączką.

Tak! Tak! To duch zarazy rozchwiał chciwe śmierci skrzydła, i goni go — ściga... Zemścić się chce na nim, za walkę z nim, za to, że tyle ofiar wydarł mu ze szponów. To on! On! W wichrze leci — przewiał go! Na wskroś go przewiał!.. Mimowolnie się wstrząsa. E! cóż znowu! Głupstwo! Przywidzenia jakieś dziecinne! Najgorzej przybierać sobie do głowy! Pewnie mróz bierze pod wieczór i robi się chłodniej...

Czy też choć Dmytro zapalił w piecu? Może i zapalił, jeśli nie zasiedział się w karczmie. No, w każdym razie nie długo już takiego życia! Zarobiłem sobie tyle, że będziemy mieli z czego rok żyć z żoną. Od sześciu miesięcy na tej „ekspozyturze!" I mnie może należy się wreszcie coś innego, a nie wiecznie cholera i tyfus, tyfus i cholera!...

I myśl młodego lekarza z szumem sośniny, po gwiździe wichru leci z zapadłej wsi wschodniej Galicyi za bór, za wieś, za rzekę, po nad lodem ścięty San, po nad Dunajec widlasty, aż hen nad Wisłę, do Krakowa, gdzie zostawił młodą żonę, poślubioną niespełna przed rokiem. Zostawił ją u jej rodziców, a sam musiał wyjechać, aby sobie zarobić trochę grosza na „ekspozyturze cholerycznej." Tymczasem epidemia ustała, i już miał wracać, kiedy znów wybuchł tyfus. Został.

Od paru miesięcy nie widział już żony. Z wózka na wózek, z chaty do chaty, od choroby do choroby, od śmierci do śmierci. Ot i teraz, kędy tylko spojrzy, wszędzie widzi to sino-blade, upiorne, śmiertelnym bólem wykrzywione rysy, to oczy szklące się żarem gorączki, lękiem przedśmiertnym wysadzone w orbit, uparcie wpatrzone w jeden punkt, jak gdyby ostatkiem wzroku przedrzeć chciały tajemną życia zasłonę. Widzi konwulsyjne prężenie się ciał okrytych lśniącym, zimnym, lepkim, agonicznym potem, i czerwone, grube, muskularne ręce rozcierających je ludzi.

Dość mu już tego, dość!

Wróci do Krakowa, do żony wróci... I przed oczami duszy staje mu słodka postać kobieca, smukła i wiotka, niby pęd kwiatowy na wiosnę, i obejmuje go w białe, gibkie, ciepłe ramiona, na pierś mu się pochyla, tuli do niej jasne, mądre czoło i twarz śnieżną, bielszą od lilii i włosem pieści pachnącym, jak łąki w poranek czerwcowy.

I Kraków widzi taki, jaki był wówczas, kiedy on się zaręczył, Kraków o wiośnie, o maju, owinięty zieloną wstęgą plant woniejących sinymi bzami i białoróżowym wieńcem świeżo rozkwitłych kasztanów. Pomiędzy ich szare pnie, po złotych plamach słonecznych, co się przedzierają przez gęstwę liści i kwiecia — roi się od ludzkich kwiatów, od lic kobiecych różowych i białych, kwitnących młodem życiem, jak kiście kasztanów skąpane w rzeźwym oddechu porannych ros.

Roi się od twarzy tchnących wiosną bytu, od oczu wilgotnych jej świętem zaraniem, patrzących na świat przez czar dziewiczy niezwarzonych skwarem brzasków, nierozwianych jutrem tęcz.

A pomiędzy niemi — jej oczy — ciemno-błękitne oczy jego żony — patrzą w niego świętem szczęścia promienne, jak chabry wpatrzone w bieg słońca po sklepie niebieskim...

Zdaje mu się, że idzie z nią wśród tłumów ludzkich, że płyną w szmerze ich fal, przytuleni cicho do siebie, wmodleni w pieśń swych dusz, wsłuchani w rytm swych serc.

Tak! Tak! Czuje ją przy sobie... Czuje, jak bije mu u serca jej serce młode, wezbrane miłością, rozwierające się jej, jak łono róży rozwiera się ciepłej nocy letniej.

— — — — — — — — — —

III.

Od paru minut trzyma termometr pod pachą, teraz bierze się za tętno. Liczy je podług zegarka, leżącego na szafce przy łóżku.

— No, no! 120 na minutę! Ładne rzeczy... W krzyżach go boli, głowa ledwie nie pęknie, nogi pod nim się trzęsą, kiedy chce wstać, w uszach huczy jak w młynie...

Wyciągnął termometr: 39.9. Tak wyraźnie 39.9, nawet trochę więcej — nie wiele brakuje do 40.

Rozpina koszulę na piersiach — ogląda je. Tu i ówdzie maleńka plamka czerwona... Przygląda się im, naciska palcem. Tyfus! Ani chybi tyfus! Zaraził się wtenczas w tej dusznej chałupie... Tak! Z pewnością tam się zaraził. Zaraz z powrotem czuł się niezdrów. Już w lesie dziwny dreszcz go przechodził... Tak! tak! Już w lesie! Stadium incubationis...

— Dmytro!

Cisza, słychać tylko miarowe tykanie zegarka na szafce.

Chory niecierpliwie poruszył się na poduszkach.

— Dmytro!!

W drzwiach rozchylonych ukazała się czerwona, wąsata twarz „Postenführera“ żandarmeryi.

Usłyszał wołanie ze swojej kancelaryi po drugiej stronie sieni.

— Potrzeba czego panu doktorowi?

— Dziękuję — chciałem Dmytra...

— Może bym mógł w czem pomódz?

— Papieru by mi trzeba — atramentu — jestem chory — muszę telegrafować o zastępstwo. I po żonę kto wie co będzie...

— E? cóż znowu? Może to przejdzie — zaczekaćby choć do jutra...

— Nie, nie! To tyfus! Trzeba, póki m przytomny... Kto wie...

Czerwona twarz żandarma przybladła pod najstroszonym wąsem. Mieszka tylko przez sień — rodzinę ma, dzieci...

— Alee?

— Na pewno, panie...

— No, jak pan „konsyliarz“ chce... A mówiłem, po co to wchodzić koniecznie do każdej chałupy? — Chłopu tyfus nic nie zrobi, a pan przechoruje się za nich wszystkich. Ot i przez okno jeden z drugim byłby język pokazał, a pan nie byłby się „tego“ nabawił.

— Żebyż to można zbadać chorego przez okno...

Pobłażliwy uśmiech przewinął się po rozpalonych gorączką rysach lekarza i skonał u katów spieczonych jego ust, jak przebłysk słońca kona na popękanych brzegach wyschłych jezior.

— A żeby pan doktor wiedział, że można! O joj! Jeszcze i jak! Nieboszczyk fizyk bywało nigdy inaczej. Przez szybkę i basta! Pokaż język! Receptę zapisał i dobrze. Właśnie by mu się też tam było chciało przykładać każdemu do ciała. I tak z „tego“ pojechał.... Coś go raz skorciło — wszedł do izby, gdzie czworo pokotem leżało bez pamięci. I do tygodnia był „fertig,“ sumiennie przez to, że wszedł do chałupy!...

Podsunął choremu papier i pióro, zamaczane w atramencie.

Doktór podniósł się na łóżku. Napisał dwie depesze. Jednę do żony, drugą do namiestnictwa we Lwowie.

Sporzał z prośbą na żandarma: żeby też gdzie tego Dmytra...

— Już ja go znajdę, choćby pod ziemią. „W ostatku“ i sam mogę nadać, będzie prędzej.

— Dziękuję — oto 60 centów na opłatę.

Opadł na poduszki. Postenführer wyszedł. I znowu cisza, tylko ze szafki przy łóżku rozchodzi się szybki, miarowy, metaliczny szept kieszonkowego zegarka... — — —

— — — — — — — — — — — — —

IV.

— Przyjechałaś po takiej złej drodze? Przyjechałeś? Daruj, żem wysłał telegram, ale tak chciałem cię widzieć — koniecznie — koniecznie... Dziękuję ci — dziękuję! Nie, nie! Nie całuj! Mogłabyś i ty dostać!... Teraz przetrwam to licho — na pewne je przetrwam, przez ciebie, dla ciebie!...

Boi się jej dotknąć — tylko ręce przed nią składa jak do modlitwy — tylko gorączką szklące się jego oczy całują jej twarz, ręce, stopy — kolana.

Nagle fala krwi twarz mu zalała płonącą: Ona matką będzie! Matką jego dziecka! Wiedział o tem dawno pisała mu przecież, a jednak nie przyszło mu to na myśl, kiedy po nią telegrafował... Lecz teraz, gdy ją zobaczył, przeląkł się o nią, i o to dziecko, które jej tętni pod sercem... A nuż się zarazi od niego? Już niechby było z nim, co by chciało — a niech choć „oni“ będą bezpieczni!

Nagłym odruchem usiadł na łóżku.

— Jadwiś! Jadwiś najdroższa!

— Władku!

— Nie! Nie! Nie zbliżaj się!

Wzrokiem, w którym tliła niespokojnie podniecona praca gorączki, wskazał jej krzesło przy stole.

Usunęła się na nie, zahipnotyzowana nieodpartą wolą jego oczu. A one zdają się ją całą chłonąć w siebie, gdy rozpętany wir myśli chorego — przyśpieszonym szeptem mówi przez wargi spalone:

— Słuchaj mnie Jadwiś! Życieś mi wróciła! Będę żył!... Będę zdrów! Czuję to... Ale ty musisz stąd jechać... Musisz jak najprędzej! Dla ciebie i dla niego... Tu w koło zaraza... Dziś przenocujesz u żandarmowej — a jutro rano wracaj! Ja przyjadę...

— Władek!

— Musisz — musisz!... Nie możesz tu zostać... Nie zniósłbym tego! Pogorszyłoby mi się z samego strachu o ciebie! Życie jest wypadkową różnych sił... I rozum winien być między niemi. Inaczej człowiek sam sobie winien. I ja nie byłbym zachorował, gdybym nie był na czczo pojechał. Weź z szafki pieniądze — i jedź — jedź... Jak wyzdrowieję — przyjadę... — —

V.

— Panie doktorze! Ratuj go! Ratuj! Całą noc mówił od rzeczy! Nie poznawał mnie! Z łóżka się zrywał — do drzwi chciał — przez okno... Ledwieśmy go wstrzymali z Dmytrem — odpychał nas — wydzierał się — krzyczał — aż przyszli żandarmi i pomogli ułożyć go w łóżku. Nad ranem usnął — ale ciągle jęczy przez sen.

— Niech się pani nie lęka — to już ostatnie wysiłki choroby — dziś powinna być kryrys — serce silne — przetrzyma — na pewne przetrzyma — będzie dobrze — nie trzeba się martwić.

Spojrzał na jej oczy zaczerwienione od czuwania, podkrążone sinymi łukami znużenia i trwogi:

— A teraz niech się pani położy, trzeba spocząć koniecznie, ja przy nim zostanę...

— — — — — — — — —

VI.

Spał, cały czas spokojnie, jak się obudzi, da mu pani proszek koffeiny.

Muszę teraz do moich chorych, z każdym dniem ich więcej... A wieczór trzeba pilnować, służący niech będzie w pokoju, tej nocy powinna przyjść kryza. Do widzenia! Proszę być dobrej myśli!

VII.

Północ. W sinawem świetle niebieskiego abażuru pochyla się blada kobieca twarz, niby zwiewny biały kwiat schylony cicho w mgły jeziora.

Pochyla się z trwogą, niespokojnie wpatrzona w płonące rysy męża, wsłuchana w tok urywanych słów, które wymawia w delirium gorączki:

— Z czem to się drożyć? Z czem? Życie? Jest!... Niema!... Przypadek! Embryologiczny przypadek! Wypadkowa ślepych sił...

— — — — — — — — — —

Coraz niżej chyli się blada twarz kobiety, coraz trwożniej patrzą bezsenne jej oczy podsiniałe ciemnymi łukami znużenia i lęku.

— — — — — — — — — —

Aż, jakby ułagodzona tym wzrokiem wmodlonym w jej cierpienie, jakby ubłagana nim, ukojona, niespokojnie ruchliwa myśl chorego, uspokaja się, milknie, usypia.

— — — — — — — — — —

Cisza, tylko ze stołu z pod lampy słychać jednostajny dźwięczny chrzęst zegarka.

VIII.

Nagle, niby niewidzialną siłą wyrzucony z pościeli, usiadł chory na łóżku i rozgląda się w koło nieprzytomnym wzrokiem, tonącym obłędnie we wizyach maligny.

— Władek! Co ci?

— Ubranie! Gdzie ubranie?

Zrywa się z łóżka i zataczając się, dopada szafy z rzeczami. Nagłymi ruchy, podnieconymi upornym majakiem gorączki, nadziewa je na siebie, ubiera płaszcz, kapelusz.

— Buty! Dmytro! Gdzie buty?

W tej chwili obejmują go w pół ręce żony martwe od trwogi.

Ale on silnym ruchem szaleńca rozrywa ich splot, jak burza targa wiotkie łodygi wodnych lilii.

Dojrzał buty w kącie szafy, rzuca się na nie.

— Matko Najświętsza! On chce gdzieś iść! Ratujcie! Dmytro! Dmytro!...

— — — — — — — — — —

Z ławy pod piecem podnosi się czarna, rozczochrana głowa podpiłego chłopa i na pół rozbudzonym, osłupiałym wzrokiem patrzy to na ubranego już pana, to na śmiertelnie przerażoną kobietę, przypatruje się im uporczywie, jakby z trudem, chcąc zebrać myśli, zrozumieć, co się tu dzieje.

— Piwa! Piwa! Tak pali! Idę na piwo...

— Masz! Masz! Napij się! Napij!

— To sok malinowy! Piwa chcę! Na piwo!...

— Dmytro! Dmytro!...

— — — — — — — — — —

Zaspana, głupowata twarz służącego zaczyna się rozjaśniać przebłyskiem świadomości. Przypomina sobie, że wrócił z karczmy wieczorem prędzej, niż chciał, bo pani kazała mu przyjść wartować koło pana. Zapomniał nawet wziąć sobie tabaki, tak się śpieszył. Ale widno pan już ozdrowiał, kiedy ubrał się i woła pić. Póki był chory, nic do ust nie brał, a teraz ma już pragnienie i chce mu się wyjść na świat. Niechby sobie popił, kiedy go tak „korci.“ „Musi“ choroba tak chce! On już i pozawczoraj chciał to zrobić, ale mu się nie dało, i dlatego go nie „popuściło,“ słabemu nie trzeba się „przeciwić“.....

Tymczasem wychudłe, drżące, lepkie od potu dłonie chorego sięgają już klamki...

Lecz ręce żony spazmatycznym uściskiem owinęły mu się dokoła ramion. Wątłe jej ciało rozpacznie przywarło do niego, odciąga go od drzwi nadludzkim wysiłkiem. Nie puści...

Ale on ją odpycha w szale maligny — odtrąca daleko od siebie... Wypadł do sieni — wyleciał na ulicę...

Dmytro! Na rany Chrystusa nie puść! Na wszystko święte! Dmytro!!

Lecz chłop stoi niepewny, niezdecydowany co robić. Jego czarnej, rozczochranej głowy nie może rozświetlić myśl, żeby przechadzka albo piwo, mogły co komu zaszkodzić. Pomogą owszem, na pewno pomogą. Przecież pan doktor już prawie „podużał,“ bo i sami ubrali się, i chce im się pić... Tego nie godzi się wzbraniać.

— Dmytro!!!

Bezgraniczna rozpacz w głosie kobiety wyrywa go z apatycznej bierności. Instynktem człowieka nawykłego do posłuchu postąpił parę kroków. Przed drzwiami jednak zatrzymał się i skropie się w głowę, jak gdyby tym gestem pobudzić chciał mózg do myślenia:

— Proszę pani nie trzeba bronić! Piwo posili — na pewno posili! Tyle czasu nie jedli — a z czegoż mają mieć siły? Nie godzi się „przeciwić,“ „bihme“ nie godzi! Żebym tak do rana nie doczekał! Na-meje sumlinje!...

I jakby dla utwierdzenia gestem prawdy i mocy swych słów — olbrzymią czerwoną pięścią bije się w piersi szerokie, aż echo idzie przez drzwi otwarte po pustej sieni dawnego karczmiska.

— — — — — — — — — —

Z rozszerzonemi źrenicami, strętwiała, niby gromem rażona, stoi kobieta obezwładniona niespodziewanym oporem chłopa.

Ale wnet otrząsa się z odrętwienia ostatkiem sił i przytomności.

— Precz pijaku!

I jak stała, na pół ubrana, w płytkich, cienkich trzewikach wypadła na śnieg.

IX.

Przy słabem świetle gwiazd majaczy przed nią ciemny kształt ludzki.

Oczy jej, oderwane nagle od światła, zaledwie rozeznać go mogą w pomroce.

O! Tam chwiejnym cieniem przesunął się przez jasną smugę, padającą od okna karczmy. Prędzej! Prędzej! I leci za nim całą siłą uginających się pod nią nóg...

Z tyłu za nimi wlecze się Dmytro. Trzeba przecież zobaczyć, co on tam robi? Prosto z łóżka może jeszcze i osłabnąć... Choć pewnikiem szklanka piwa mu nie zaszkodzi. Na jego miejscu, on, Dmytro, napiłby się wódki. Najlepsza ona na wszystko. Każdą chorobę wyciągnie z człowieka. Powiedziała pani, że pijak, zwyczajnie „w prędkości“ nie wiedziała co mówi. Pijak on żaden, a kieliszek każdemu wypić wolno. A na cóż pędziliby okowitę? Ot i teraz choćby półkwaterek kminkowej... A prawda! i tabaki weźmie sobie, już nie zapomni...

(Dokończenie nnstąpi.)